Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok V. Niedziela, dnia 25 kwietnia 1937 r. Nr. 17

NA DŁUGO... DŁUGO...



Musieliśmy rozstać się, inne nasze drogi,
Ty miałeś cel swój już wytknięty....
Żyłeś dla kogoś, masz swe własne progi,
Gdy ja mam — los mój zwichnięty.

Prócz tego mam jeszcze smutne wspomnienie,
Które o zmierzchu staje przede mną...
O zmierzchu... nawiedza mnie dziwne złudzenie,
Bo zdaje mi się, żeś jest wciąż ze mną.

O zachodzie słońca, czasem gdzieś w dali,
Fujarka pastusza cicho zapłacze...
Tak, jak by wiedziała, żeśmy się rozstali,
Na długo... na bardzo długo... na zawsze...

Fryderyka Kremerówna.

WOJCIECH HOLM

28)

Nienawiść a miłość

czyli tajemnica zamku Felseg

Dama panny Grety, widocznie przywykła już do takich epitetów, gdyż podreptała do szafy i wyjęła z niej nowy, bardzo elegancki kostium, który, nie spiesząc się bardzo, zaniosła swej pupilce.

Wstąpmy z panią Gramel do pokoiku, do którego baletnica się schroniła.

Zburzone łóżko z brudnymi, kolorowymi poduszkami w kącie, zdradzało, że ta komnata była sypialnią. Były tam też nagromadzone stare sprzęty, których już użyć nie można było i których się trzeba było pozbyć.

Baletnica stała przed małym lustrem ręcznym i z wielką starannością układała bronzowe loczki nad czołem. Greta była przystojną i młodą jeszcze dziewczyną, o delikatnych rysach i ciemnych, zuchwale patrzących oczach.

— No, nareszcie przychodzisz! — przywitała starą kobietę, którą przed obcymi ludźmi nazywała czule „cioteczką". — Pomóż mi coprędzej, abym się szybko ubrała.

Pani Gramlowa usłuchała w milczeniu i po kilku minutach Greta była już ubrana.

Ostatnie spojrzenie w lustro uspokoiło baletnicę, co do jej wyglądu. Wyszła ona z uroczym uśmiechem na ustach do salonu, gdzie książę Iffalwi czekał na nią siedząc w fotelu w niedbałej pozie i opierając nogi o drugie krzesło.

— No, Greto! — rzekł do niej nie zmieniając pozycji — Twoja toaleta trwała całą wieczność. Gdybyś jeszcze minutę siedziała dłużej, byłbym odszedł, a ty żałowałabyś, bo byłbym i prezent zabrał ze sobą.

— Jaśnie panie! — dąsała się baletnica — nie o prezent by mi chodziło! Byłabym niepocieszona i zrozpaczona tylko dlatego, że mnie jaśnie pan znowu opuścił. Proszę zapytać pani Gramlowej, czym nie płakała onegdaj przez przez całą noc, dlatego, że książę nie przychodził i musiałam go daremnie oczekiwać.

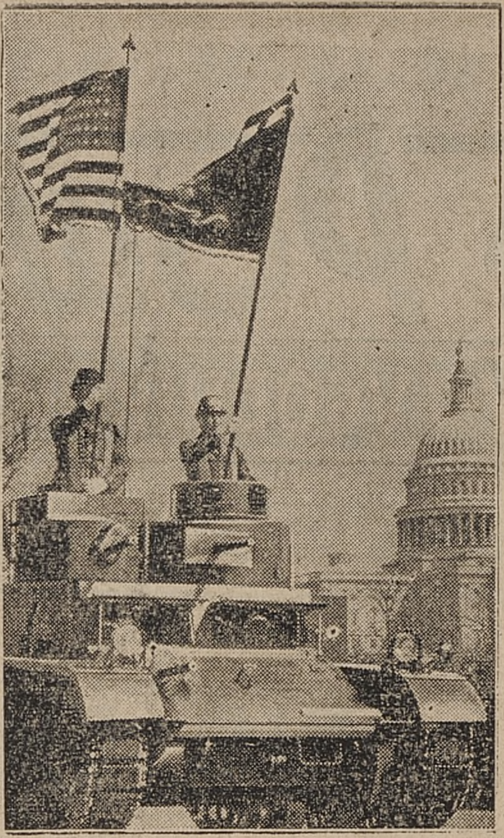
— Tak, tak, płakała! — potwierdziła pani Gramlowa przekonywująco — aż mnie serce bolało! Zawodziła i lamentowała jak małe dziecko!

Książe słuchał z zadowoleniem tych słów. Biedak nie wiedział, że tego wieczoru Greta powiedziała do swej towarzyszki:

— Nie bardzo się martwię tym, że stary Gogo nie przychodzi, pocieszę się kimś innym.

Po czym wypiła sama ze swą towarzyszką butelkę szampana, który książę jej przysłał.

Podczas, gdy stara dreptała po salonie, aby zaprowadzić jaki taki porządek i ład, wyciągnął książę z kieszeni dwa skórzane futerały. Otworzył obydwa równocześnie i pokazał zachwyconej Grecie ich zawartość.



W dwudziestoletnią rocznicę wojny amerykańskiej urządzono w Waszyngtonie wspaniałą defiladę wojskową, w której wzięły również udział nowe tanki wojenne.

— Wybieraj! — rzekł z lekkim uśmiechem — co wolisz, ametysty, czy szafiry?

O, ja nieszczęśliwa istota! — lamentowała Greta w komicznej rozpaczy — stoję jak osioł przed dwoma żłobami i nie wiem co wybrać, ametysty, czy szafiry. Najchętniej wzięłabym jedno i drugie!

Patrzyła kolejno to na jeden, to na drugi garnitur, a później spojrzała kokieteryjnie na księcia, który uśmiechał się, widząc jej chciwość.

— Jesteś przebiegłą dziewczyną — rzekł wesoło — i rozumiesz się na swoim interesie, ale bądź spokojną! Oba garnitury są przeznaczone dla ciebie, a ja żartowałem tylko, bo się podobnej odpowiedzi po tobie spodziewałem.

Ledwo to książę wymówił, Greta krzyknęła z radości i rzuciła się hojnemu dawcy na szyję.

Wycałowała go serdecznie, na co książę chętnie zezwolił i zawołała wesoło:

O, wspaniałomyślny książę! Zasługuje pan w zupełności na swoje bogactwa i tytuły, bo nie jest pan takim sknerą jak inni. Ale co ja gadam! Jaśnie pan powinien być cesarzem za swoje szlachetne serce!

Potem pobiegła do lustra, przymierzyła najpierw jeden, potem drugi garnitur i przedstawiła się księciu wywołując z jego strony komplimenta.

— Włożę szafiry na próbę — rzekła wesoło — a ametysty wezmę do kieszeni, aby się nimi pochwalić. Założyłabym się, że Liza i inne pękną z zazdrości. Ale cóż to? Jezusie Święty! — zawołała nagle, patrząc na zegarek — muszę teraz jak najprędzej biec na próbę. Przyjdę i tak z pewnością za późno i będę musiała zapłacić karę!

— Nie pójdziesz na próbę! — zawołał książę gniewnie — przyszedłem tu, aby z tobą spędzić kilka godzin, a więc musisz zostać!

— Ależ dyrektor wymówi mi natychmiast — rzekła Greta trwożnie — jeśli się dowie, że bez powodu opuszczam próby!

— A czyż to nie powód, że masz gościa? — zapytał książę podrażniony.

— O, ten barbarzyńca nie uważa tego za powód — wtrąciła pani Gramel — ale wpadłam na dobrą myśl! Pójdę wprost na próbę i powiem, że Greta zachorowała nagle i że dlatego nie może przyjść.

— Ale nikt ci nie uwierzy — zauważyła zaniepokojona baletnica.

— Napewno mi uwierzą — zapewniała pani Gramel — bo odegram swoją rolę świetnie, lepiej aniżeli panna Germang.

To mówiąc, wyjęła z kieszeni chusteczkę wątpliwej czystości i zaczęła głośno szlochać, aby zrobić próbę komedii, którą miała odegrać.

O, ja nieszczęśliwa, biedna kobieta! — szlochała — Boże mój, Boże, dlaczegoś mnie tak pokarał! Moje dziecko, moja biedna Greta umiera, a ja nic nie mogę uczynić, aby ją przy życiu utrzymać. Panie dyrektorze, ona już kona! Dwóch lekarzy jest u jej łoża! Wkrótce usłyszy pan okropną wiadomość...

— Wyśmienicie! — zawołała Greta, kładąc się ze śmiechu — Gramlowa, w tobie zmarnował się wielki talent dramatyczny. A teraz idź i odegraj rolę tak dobrze przed dyrektorem, jak zagrałaś tutaj.

— Idź, idź, Gramlowa! — dodał książę, który też serdecznie się uśmiał. — A gdy będzie wracała, zamów dla nas dobre śniadanie. Pięć do sześć butelek szampana, kilka tuzinów ostryg, pasztet z wątróbek gęsich i majonez, albo ze dwa dania ciepłe, np. kuropatwy i łososia, lub coś podobnego, prócz tego kilka gatunków dobrego sera, trochę sardynek i owoców i najlepsze przekąski.

— I coś słodkiego — prosiła Greta z dziecinną minką — trochę lodów, kilka ciastek i konfitury!

— Dobrze! — rzekł książę — Wstąp i do cukierni i każ nam przysłać ciastek, kilka gatunków lodów i jeden albo dwa słoje konfitur. Oto masz na drogę! — dodał — Weź sobie dorożkę abyś wróciła prędzej i powiedz restauratorowi, aby przysłał nakrycie, bo pewnie nie macie kryształów, srebra i bielizny stołowej.

Gramlowa przyjęła uradowana pieniądze i wysunęła się do swej sypialni, aby się trochę przebrać, a gdy po krótkim czasie wróciła, była zupełnie przeobrażona. Wygląd jej przedstawiał się bardzo miło.

Nowa zarzutka jesienna okrywała jej chudą postać, a z pod zgrabnego kapelusika, nie było widać, że nie miała porządnej fryzury. Właśnie starała się wciągnąć na swe kościste ręce parę ciasnych rękawiczek skórkowych, gdy Greta rzuciła się nagle na nią jak drapieżny ptak i odkrywając jej buciki, krzyknęła niechętnie:

— Kto ci pozwolił włożyć moje trzewiki? W tej chwili je zdejm i zapamiętaj sobie to dobrze, że nie mamy wspólnej garderoby.

Ale Gramlowa nie słuchała tego, co tamta mówiła.

— Greto — schlebiała — pożyczyłam je sobie ze względu na ciebie, bo jeżeli mam wystąpić, jako twoja mama, to nie mogę pokazywać się w butach z których mi palce wyłażą. W takich butach zrobiłabym ci tylko wstyd!

— Daj spokój starej! — prosił Gretę książę z łagodnym uśmiechem — — niech prędko idzie i zamówi śniadanie.

— A więc idź do diabła! — zawołała Greta do swej rzekomej matki, która podreptała z zadowoleniem.

Mimo, że baletnica oczekiwała śniadania z wielką niecierpliwością, starała się księcia wszelkimi możliwymi sposobami zabawić. Naśladowała zręcznie dyrektora, artystę tragicznego i kilku znajomych z arystokracji, którzy przychodzili za kulisy. Opowiedziała mu pikantne historyjki o damach z teatru i ich kochankach, recytowała dowcipy zakulisowe i pokazywała mu nowe figury taneczne.

Książę przypatrywał i przysłuchiwał jej się z uśmiechem, od czasu do czasu wtrącając jakieś zdanie.

Tymczasem Gramlowa pojechała doróżką do teatru i tam odegrała z wielkim mistrzostwem swoją scenkę. Reżyser uwierzył jej odrazu i pożegnał ją z uprzejmymi życzeniami rychłego powrotu do zdrowia jej córki.

Ledwie Gramlowa zeszła ze sceny i znikła za kulisami, gdy jedna z baletnic wybiegła za nią i złapała ją za suknię.

— Gramlowa — zapytała bez ogródek — kto jest u Grety? Dostaniecie coś odemnie jak mi powiecie całą prawdę.

— O, będzie to na pewno coś pięknego — rzekła ironicznie Gramlowa, którą nęciła nadzieja pięknego podarunku. — Czy umiesz jednak zachować tajemnicę Krescencjo?

— Umiem milczeć, jak grób! — zapewniała ją Krescencja.

— A więc powiem ci — rzekła stara z poważną miną — jest u nas książę Iffalwi. Idę teraz właśnie zamówić śniadanie, składające się z ostryg, szampana i innych narozmaitszych delikatesów! Zanosi się na wielką ucztę!

— O, gdybym tak mogła wziąć w niej udział! — rzekła baletnica z zazdrością. Może zresztą przyjdę po próbie do was!

— Jak chcesz — mówiła Gramlowa — będzie tyle wszystkiego, że i dla ciebie starczy. Ale udawaj, że o niczym nic nie wiesz.

— Nie obawiaj się, ja już wiem, co mam robić! — rzekła Krescencja i pobiegła na scenę, bo ją właśnie zawołano.

Pani Gramel wywiązała się ze swego zadania bardzo dobrze.

Była zadowolona, bo książę i Greta podziękowali jej i pochwalili ją.

Kilku kelnerów przyniosło wkrótce pełne kosze i w jednej chwili nakryli bardzo apetycznie stół.

Gdy w najlepsze ucztowano, weszła Liza i Krescencja wraz z przyjaciółkami Józią i Leną.



Kobiety cofnęły się, gdy zobaczyły pysznie zastawiony stół.

— Przepraszam, że przeszkadzamy! — zawołała Krescencja obrażona. — Myślałyśmy, Greto, że jesteś naprawdę chora i chciałyśmy się dowiedzieć, jak się czujesz.

— Greta znowu zmartwychwstała! — zawołał książę, a dowcipowi jego zawtórował głośny śmiech. — Chodźcie i wy dzieci, siądźcie obok nas i jedzcie. Gramlowa, przynieś nową butelkę szampana.

Po krótkich ceregielach Liza i Krescencja zabrały się do jedzenia i wkrótce zapanował przy stole wesoły nastrój.

Książę siedział wśród młodych aktorek, jak basza w swoim haremie. Wszystkie starały się go bawić, i pochlebiać mu, aż w końcu wino tak im uderzyło do głowy, że nie wiedziały, co mówią.

Gramlowa, która sobie ciągle dolewała wina, była zupełnie pijana. Ze stukiem zsunęła się pod stół, a Greta oparła swe nogi na jej bezwładnym ciele.

Drugą ofiarą była panna Józia, która z początku rozpaczliwie płakała i mówiła, że chce sobie życie odebrać, a potem błogo usnęła.

W końcu zasnęły wszystkie.

Gdy się w ten sposób orgia skończyła, książę podniósł się z krzesła, chwiejąc się na nogach.

Z trudem zszedł ze schodów i daremnie próbował wybełkotać melodię, którą śpiewała przed tym Józia.

Gdy się szczęśliwie dostał do dorożki, musiał dobrą chwilę myśleć, nim przypomniał sobie swój adres, a skoro znalazł się w dorożce zasnął twardym snem.

W ten sposób starał się książę Bela Iffalwi zmazać plamę z swego honoru i zapomnieć o hańbie ciążącej na jego imieniu.

ROZDZIAŁ CVI.

Ludzie grzeszą, ale Bóg im przebacza

Hortensja, po owej okropnej nocy, w której została uprowadzona przez wspólników księcia, pędziła znowu spokojnie życie i wracała powoli do równowagi.

Gellini zaś od ostatniej swej rozmowy tęskny i smutny wskazywał, że myśl jego wyrywała się ku kobiecie, która mu życie złamała.

Hortensja szanowała tę boleść ojca i nigdy nie dotknęła rany jego serca, gdyż i ona cierpiała w głębi duszy i kryła się starannie z tym przed ludźmi.

Codziennie wieczorem, gdy Gellini jeszcze był zajęty, wymykała się młoda kobieta jak dawniej, do swego opuszczonego mieszkania przy ulicy Schönbrunn.

Sprawiało jej to pewne zadowolenie, że mogła przebywać tam, gdzie mieszkało tyle jej wspomnień.

Codziennie zdobiła biurko Leona świeżymi kwiatami, ale, niestety, daremnie.

Podczas, gdy ona wypłakiwała sobie piękne oczy, Leon zapomniał o świecie, oszołomiony grą zmysłów.

W sercu Hortensji nie było jednak potępienia, ani żalu, tylko przebaczenie i ogromna tęsknota.



W okresie wiosennym trzeba i w ogrodzie zaorać się do intensywnej pracy...

Gdyby Leon wiedział, jak żyła i znał jej myśli, byłby uderzył się ze skruchą w pierś i błagał ją o przebaczenie, ale on odpędzał tylko trwożnie ze swej duszy każdą myśl o Hortensji, aby uniknąć wyrzutów sumienia i w ten sposób sam powiększał przepaść między nią a sobą.

Jednego wieczora siedziała Hortensja jak zwykle w swojem opuszczonym mieszkaniu, gdy nagle otworzyły się bez szmeru drzwi i jakaś wysoka postać kobieca weszła cicho do pokoju.

Przybyła miała skromny strój, ciemnej barwy. Twarz jej osłaniał gęsty welon.

Kilka chwil stała spokojnie i przypatrywała się Hortensji, a potem przycisnęła obie ręce do serca, jak gdyby chciała uspokoić jego silne uderzenia. Z wahaniem zrobiła kilka kroków naprzód.

Szelest jej sukni zwrócił uwagę Hortensji. Ze zdziwieniem podniosła się, zobaczywszy nieznajomą i zapytała uprzejmie, czy się nieznajoma nie pomyliła, wchodząc tutaj.

W odpowiedzi czarna pani podniosła welon, a Hortensja ujrzała piękne oblicze, oszpecone szeroką, krwawą blizną. Dwoje szafirowych oczu patrzyło na Hortensję z wyrazem wielkiej miłości i głębokiego bólu.

Dziwne uczucie opanowało Hortensję, ale zanim zdążyła znowu przemówić, nieznajoma rzuciła się przed nią na kolana i zawołała łkając:

— Moje dziecko, moje dziecko! Twoje nieszczęśliwa matka leży ze skruchą u twoich nóg i błaga cię o przebaczenie!

— Moja matko! — zawołała Hortensja łagodnie i lekko podniosła płaczącą kobietę i przycisnęła ją do swoich piersi.

— Moja matko — powtarzała serdecznie. — Mój Boże, jakże Ci dziękuję, że pozwoliłeś mi oglądać twarz mej matki, że ręka mojej matki może mi udzielić błogosławieństwa, a ja o jej miłości dla mnie nie potrzebuję wątpić.

Księżna płakała cicho.

Szlachetny sposób myślenia jej córki, więcej ją wzruszył i obudził w niej silniejsze wyrzuty sumienia, niż mogłyby to uczynić najostrzejsze oskarżenia.

Hortensja objęła płaczącą matkę swojemi zgrabnemi ramionami i nieśmiało całowała jej złotawe włosy, z których zsunął się kapelusz.

Irmgarda otrząsnęła się wreszcie z pierwszego wzruszenia, ujęła swą córkę za rękę, spojrzała czule w jej piękne, duże oczy i zawołała z głębokiem wzruszeniem:

— Bóg niech ci błogosławi, moje drogie dziecię! Niech ci Bóg stokrotnie wynagrodzi za to, coś dziś dla mnie uczyniła!

To rzekłszy, umilkła, gdyż za bardzo była wzruszona, aby mówić dalej.

— Postąpiłam, jak mi serce dyktowało — odparła Hortensja skromnie. — Zresztą tyle lat tęskniłam za tobą, za tym, by usłyszeć miły głos mojej matki, za tym, aby móc głowę swą na jej piersi położyć. Czyż nie mam powodu czuć się szczęśliwą i Bogu dziękować za to dobrodziejstwo?

Łagodnie pociągnęła swą matkę na kanapę, usiadła obok niej i pieściła ją czule.

Niebiański spokój wpłynął w tej chwili do duszy Hortensji, bowiem tytyloletnia jej tęsknota została zaspokojoną.

Księżna przerwała wreszcie milczenie.

— Moje dziecię! — mówiła pokornie — pozwól mi wyznać całą moją winę i moje wykroczenia. Chcę się upokorzyć przed tobą, tak, jak się jeszcze dotąd przed nikim nie upokorzyłam. Odsłonię ci wszystkie tajniki mej duszy, a gdy mi i wtedy jeszcze przebaczysz, to będę wynagrodzona za długie lata cierpień.

Księżna rozpoczęła drżącym głosem opowiadać swej córce historię swego złamanego życia. Z początku mówiła cicho i lękliwie, ale potem coraz śmielej. Hortensja, nie zdradziła żadnym słowem, że historia ta jest jej znaną. Odczuła bowiem, że spowiedź ta jest dla jej dumnej matki pokutą za ciężkie jej grzechy i słuchała ze współczuciem tego pełnego skruchy wyznania.

Irmgarda nie oszczędzała się, lecz oskarżała się gorzko. Potępiała się zato, że tak bez litości odepchnęła swe dziecko od siebie i że dla powierzchownych zaszczytów i powierzchownego szczęścia poświęciła szczęście i dobro swego dziecka.

Przez długie lata myślała tylko tyle o swym dziecku, o ile się bała, aby się jej hańba nie wykryła, dopiero, gdy ją małżonek zaczął zaniedbywać poczuła się osamotnioną, obudziła się w niej tęsknota za dzieckiem.

Ale i wtedy jeszcze uczucie to nie było tak potężne, aby zwalczyć różne zewnętrzne przeszkody i wtedy Irmgarda nie czyniła żadnych zabiegów, aby się zbliżyć do córki.

Dopiero, gdy przyszło do ostatecznej rozprawy z mężem, gdy ten dowiedział się o wszystkim i począł jej z tego powodu tak okropnie grozić, wtedy dojrzała jej w głowie myśl wyszukania córki i wypłakania się na jej sercu.

Wyczerpana tem wyznaniem, pytała księżna swoją córkę, czy jej i teraz przebaczyć może.

Hortensja wzruszona przycisnęła matkę do swych piersi i rzekła:

— Dziękuję Bogu, że mi cię oddał!

Irmgarda opowiadała potem, jak daremnie szukała swą córkę w górskim folwarku i wreszcie w Königswalden dowiedziała się o niej, jak mimo niebezpieczeństw, które jej groziły, udała się do Wiednia, jak po nieprzespanej nocy i pełnym obawy dniu, dopięła celu.

— A nakoniec Bóg nas połączył — powiedziała Hortensja uroczyście — i żadna moc świata już nas nie rozłączy!

— Nie mam też innego życzenia, jak przy twoim boku dokonać ostatnich dni mego żywota! — odrzekła Irmgarda. Ale twój małżonek? — zapytała trwożnie — cóż on powie matce swej żony, która dziecko swoje zostawiła na łaskę i niełaskę ludzi?

Na to pytanie zbladła piękna twarz Hortensji, a oczy jej napełniły się łzami.

— Droga matko — powiedziała łagodnym głosem — los mój jest zbliżony do twego. Twój małżonek ciebie zaniedbywał, a mój opuścił mnie.

Już od kilku tygodni nie widziałam go i nie miałam od niego żadnych wiadomości. Znikł bez śladu. Często myślę, że może umarł, bo przecież miałby litość nad moją tęsknotą. Nieraz znowu z nieopisaną miłością i pewnością oczekuję jego powrotu.

Hortensja nie mogła już dłużej zapanować nad swym bólem i rozpłakała się.

— Moje biedne dziecko! — mówiła Irmgarda. — Czyż i na tobie cięży przekleństwo twej matki? Ależ ty jesteś czysta i niewinna, więc jakżeś mogła zasłużyć na taki los? Nie trać nadziei, moje dziecko! Bóg zlituje się nad tobą

i wróci ci małżonka. W dniach samotności będę starała się być ci podporą i pocieszać się.

— Widzę, że dobry Bóg okazał mi wiele łaski w mojem zmartwieniu i bólu — mówiła Hortensja z wdzięcznością. — W pierwszych chwilach mego osamotnienia dał mi ojca, który się mną zajął i dał mi dowody swej miłości i dobroci ojcowskiej, a teraz dał mi ciebie, moja droga matko!

— Co słyszę? — zawołała księżna z przerażeniem. — Gellini odnalazł cię i uznał jako swoją córkę?

— Ojciec dał mi przytułek w swoim domu i jestem jego najmilszą pupilką — rzekła Hortensja.

— O Boże, Boże! — zawołała Irmgarda trwożnie — czyż mogę stanąć przed oczyma Gelliniego? Obawiam się jego gniewu, zresztą słusznego i w nienawiść zamienionej miłości.

— Nie obawiaj się niczego, moja matko — odrzekła Hortensja pocieszająco. — Ojciec nie gniewa się na ciebie! Jego miłość dla ciebie jeszcze nie wygasła!

— Trudno mi w to wierzyć! — mówiła księżna. — Umberto ma zupełnie usprawiedliwiony powód nienawidzieć mię i mną pogardzać, bo złamałam mu serce, zniszczyłam jego karierę artystyczną i zatrułam mu życie.

Dlatego tak obawiam się go zobaczyć, jak się boi zbrodniarz sędziego! Oczy jego nie mogą mię nigdy ujrzeć! Przysięgnij mi, że mu nigdy nie zdradzisz miejsca mego pobytu. Przysięgnij mi, że dochowasz tajemnicy!

— Nie żądaj tego ode mnie, droga matko! — zawołała Hortensja. — Czyż miałabym temu kochającymu i dobremu ojcu, który mię tak serdecznie do serca przygarnął, zataić coś, co mnie do głębi porusza, a co i jego dotyczy? O nie, ja nie mogę mieć tajemnic przed moim drogim ojcem.

Zdawałoby mi się, że popełniam coś złego, gdybym cokolwiek przed nim taiła. Wierz mi, że ojciec nie ma żalu do ciebie. Serce jego zna tylko uczucie miłości i wspaniałomyślności. Dlaczego boisz się jego wzroku. Dlaczego miałabym przed nim ukrywać, żem się z tobą widziała?

— Miej litość nade mną, Hortensjo! — prosiła Irmgarda błagalnie. — Jeżeli mi nie przyrzekniesz milczenia, nie mogę tu dłużej pozostać. Dręczyłaby mię ciągle obawa, zobaczenia Gelliniego. Ach, ty nie wiesz jak mię męczą wyrzuty sumienia, ty nie przeczuwasz nawet, jak się serce kurczowo ściska na samą myśl spotkania kogoś, którego się ciężko skrzywdziło. Czuję, że muszę znowu Wiedeń opuścić i skryć się gdzieś w samotności. Zobaczyłam cię, a tyś mi przebaczyła; to wspomnienie będzie dla mnie jedyną pociechą w osamotnieniu. Muszę, niestety, wyrzec się nadziei — spędzenia ostatnich dni życia przy tobie.

— Czyż miałabym cię znowu stracić, zaledwie cię odnalazłam — mówiła z wyrzutem Hortensja. — O nie! raczej ucieknę się chętnie do zachowania milczenia, chociaż wobec ojca będę mieć nieczyste sumienie. Zostań, matko, zostań przy mnie! Przysięgam ci, że nie



W Berlinie, wobec 6.000 widzów, odbył się pokaz ćwiczeń cielesnych 120 gimnastyków czechosłowackich, uczniów specjalnej szkoły gimnastycznej.

zdradzę się ani jednem słowem, że ty tu jesteś.

— Wiem, że ponosisz dla mnie wielką ofiarę — mówiła księżna. — Ale ja przyjmuję ją z wdzięcznością. Ty jesteś moją jedyną ucieczką, a miłość twoja mojem ostatniem szczęściem na ziemi. Wynajmę sobie w twojem pobliżu pokoik, abyśmy się mogły często spotykać.

— Ja mam lepszy plan — odrzekła Hortensja. — To mieszkanie stoi próżne, ale ojciec mój opłaca je, bo wie, że chętnie tu przebywam i że mam, niestety, tę zwodniczą nadzieję, że mój małżonek przecież tu powróci. Pozostań tu, w tych skromnie urządzonych pokojach, moja droga matko, pomówię o tym z gospodynią. Przychodzę tu codzień, więc możemy się codziennie widywać, tak, że ojciec nie będzie miał najmniejszego podejrzenia. A gdyby mój małżonek wrócił — dodała ze łzami w oczach i stłumionym głosem — to powiedz mu, że oczekuję go z niezmienną miłością.

— Jakiż skarb uczuć i wierności mieści się w twym sercu, moje drogie dziecko! — mówiła Irmgarda wzruszona. — Daj Boże, aby twój małżonek okazał się godnym twego przywiązania. Pozostałabym chętnie w tym mieszkaniu dlatego, że ty tu przebywasz, ale czy Gellini tu nie przyjdzie?

— Ojciec nigdy tu nie przychodzi! — zapewniała Hortensja. — Odwiedzam zwykle wtedy swoje dawne mieszkanie, jak ojciec jest zajęty. On nigdy mię tu nie odprowadził i nigdy tu nie szukał. Jesteś tu zupełnie bezpieczną, moja droga matko.

— Ale czy mój małżonek nie odkryje mnie tutaj? — pytała księżna trwożnie. — To byłaby moja zguba! Bela przysiągł mi okrutną zemstę!

Hortensja drgnęła mimowoli, gdy usłyszała imię księcia Iffalwi.

— Zdaje mi się — dodała poważnie — że książę nie będzie cię szukał, ani w tym domu, ani w tym mieszkaniu. Jeżeli ma jeszcze sumienie, choćby iskierkę poczucia honoru, to będzie unikał każdego zetknięcia się ze mną, której zguby pragnął.

— Co? — zawołała Irmgarda przerażona — Bela prześladował cię swoimi niecnymi zamiarami? O Boże, Boże, jak nieraz za grzechy rodziców ciężko karzesz dzieci.

— Wszechmocny tak zrządził, że wybawiła mię twoja fotografia — odrzekła Hortensja i opowiedziała przerażonej matce przebieg owej strasznej nocy.

Teraz dowiedziała się wreszcie księżna, w jaki sposób doszedł jej mąż do odkrycia jej błędu młodości i odczuwała nawet, usłyszawszy to wyznanie, pewną radość, że córkę to szczęśliwie ocaliło.

— Twój ratunek był moją zgubą! — odrzekła.

— A ja dziękuję Bogu z całego serca za ten zbieg okoliczności. Zdaje mi się, że wina moja jest przez to trochę mniejszą, żem już ją w części małej odpokutowała.

. . . .

Matka i córka byłyby się przed sobą jeszcze z niejednego wspowiadały, bo niejedno jeszcze miały na sercu, ale zbliżał się już czas, w którym Hortensja musiała wrócić do domu.

Pożegnała się więc z Irmgardą i przyrzekła jej następnego dnia, o swej zwykłej porze, przybyć, poczem pośpieszyła do gospodyni, aby jej polecić opiekę nad przybyłą panią, którą przedstawiła jako jej bliską krewną.

Gdy księżna pozostała już sama, upadła przed skromnym krucyfiksem i pogrążyła się w dziękczynnej modlitwie.

ROZDZIAŁ CVII.

Na wieczny spoczynek

Gdy księżna Irmgarda Iffalwi osiągnęła ostatecznie swój ostatni cel życia, opuściły ją nagle siły.

Żal, który od tylu lat ją dręczył i wyrzuty sumienia, nie dające jej ani chwili spokoju, już od dawna niszczyły jej zdrowie i podkopywały jej siły.



W Berlinie, w przeddzień urodzin Mussoliniego, tj. 19 kwietnia, odbyła się premiera filmu „Mario" osnutego na życiu i walkach partii faszystowskiej i obrazującego jej obecną potęgę. Scena przedstawia młodego faszystę, wyrażającego podniesieniem ręki swą radość z przyjęcia na członka wojskowej organizacji młodzieży faszystowskiej „Balilla".

Do tego przyłączyły się jeszcze silne wzruszenia ostatnich dni, niewygody podróży i przejścia, więc wszystko to razem przyczyniło się do poważnego nadszarpnięcia jej organizmu.

Hortensja, która teraz codziennie przebywała po kilka godzin u boku Irmgardy widziała ze smutkiem, jak wspaniała postać matki przygarbiła się, jak jej wychudła twarz, niebieskie oczy przygasły, a białe ręce stawały się z każdym dniem przejrzystsze.

Z troskliwością, pełną miłości, nalegała codziennie na matkę, aby radziła się lekarzy, ale księżna odpowiadała jej zawsze z uśmiechem, że jej nic nie brakuje.

Ponieważ Hortensja nie zauważyła poza tym żadnych śladów słabości, musiała więc zadowolić się tą odprawą matki.

Nie przeczuwała, że Irmgarda całymi nocami nie sypia, nie wiedziała, że księżna tylko przymuszała się do jedzenia w jej obecności i apetytu zupełnie nie miała.

W obecności Hortensji zbierała Irmgarda swoje fizyczne i duchowe siły, aby nie robić wrażenia chorej osoby, ale gdy została sama, wtedy siedziała bezsilna, wyczerpana i apatyczna, całymi godzinami, bez zajęcia na tym samym miejscu, bo każdy ruch, każde słowo było dla niej trudem.

Księżna nie łudziła się, że wróci jeszcze kiedyś do zdrowia, wiedziała, że zbliża się szybkim krokiem do grobu, a myśl o śmierci wydała się jej szczęściem.

Wprawdzie miłość dla córki mogła ją przywiązać do ziemi, ale Hortensja mogła mieć życie zapełnione i bez niej.

Jej jedynem życzeniem było zobaczyć swą ukochaną córkę u boku jej męża. Czuła, że wtedy mogłaby spokojnie umrzeć.

Irmgarda odpokutowała swój grzech młodości długiemi latami cierpień i miała teraz nadzieję, że Sędzia Wszechmocny zlituje się nad nią.

Tyloletnia tęsknota za jedynem dzieckiem, za jego miłością, spełniła się i księżna przeżywała ostatnie dni swego życia w cichym szczęściu.

Teraz rozstanie się z życiem, otoczona miłością, pamięci jej nie będą przeklinać, tylko błogosławić, a jej śmierć będzie opłakiwana szczeremi łzami.

To były myśli, które osładzały księżnie ostatnie chwile życia.

Stosunek matki z córką stawał się z każdym dniem piękniejszy. Wspólnie przebyte chwile zacieśniały coraz bardziej węzły między niemi i zespalały harmonię dusz i serc.

Zwykle niechętnie i z żalem odchodziła Hortensja od swej matki, gdy zbliżała się godzina pożegnania; z niecierpliwością oczekiwała zawsze chwili, w której miała się udać z domu ojca do swego mieszkania, w którym przebywała teraz jej kochana matka.

Matka wywierała na córce bardzo silny wpływ. Do tej pory dziecinna kobieta stawała się z każdym dniem dojrzalsza i rozumniej pojmowała wszystkie zagadki życia.

Codzienne obcowanie z doświadczoną i światową kobietą, nadawało Hortensji coraz większej pewności.

I w sądach była dojrzalszą i w usposobieniu traciła swoją dawną nieśmiałość.

Ze zdziwieniem przyjął Gellini tę zmianę w swojej córce.

Obserwował ją uważnie i nie mógł stłumić w sobie podejrzenia, że córka coś przed nim ukrywa.

Często widział jak siedziała zamyślona i lękała się gdy ją budził jakimś pytaniem z zamyślenia.

Dziwnie unikała jego spojrzeń.

W swoim starym mieszkaniu przebywała coraz dłużej, wybierała się tam zawsze z radością.

Gellini przypuszczał, że Waldau wrócił, a ukrywa się przed nim dlatego, bo się wstydzi swego postępku. Być też może, że pozbawiony pieniędzy, chce poczekać, aż jego stosunki materialne polepszą się i dopiero wtedy wystąpi śmiało przed ojcem swej żony.

Mistrz postanowił za wszelką cenę położyć temu koniec.

Protekcją swoją i radą chciał pomóc, Leonowi w zdobyciu odpowiedniego stanowiska.

Aby uniknąć długich rozmów, postanowił udać się do mieszkania córki w chwili, gdy będzie razem z swoim małżonkiem.

Pewnego więc dnia, gdy Hortensja o zwykłej porze wyszła z domu, udał się za nią.

Pełen wzruszenia szedł po schodach i cicho otworzył drzwi od mieszkania Hortensji.

Obraz, jaki zobaczył, przeszedł wszelkie jego oczekiwania.

Na wygodnym krześle, wyłożonym miękkimi poduszkami, spoczywała jakaś bezwładna postać kobieca. Twarz jej szpeciła czerwona bielizna, ale mimo zmian, jakie czas i różne zmartwienia na tych pięknych rysach wycisnęły, poznał odrazu Gellini niezapomniane oblicze swojej ukochanej.

— Irmgardo! — zawołał radośnie.

Przerażona Hortensja podniosła się szybko ze stołeczka, stojącego u stóp jej matki. Twarz Irmgardy pobladła śmiertelnie, kolana zatrzęsły się pod nią, ale mimo to powstała. Z początku uczyniła ruch, jakby chciała uciekać, a po tym zbliżyła się chwiejnym krokiem ku Gelliniemu, upadła u jego nóg i wyjąknęła:

— Przebacz, o, przebacz mi! Nie przeklinaj mnie, bo jestem już umierającą.

— Ja miałbym cię przeklinać? — zawołał mistrz zrozpaczony. — Irmgardo, czyżbyś nie znała mej miłości? Nie u nóg moich jest twoje miejsce, nie, to tobie nie przystoi.

To powiedziawszy, podniósł ją łagodnie i poprowadził do krzesła.

Księżna patrzyła na niego ze wzruszeniem, ale nie mogła wymówić słowa.

— Irmgardo! — zawołał Gellini miękkim głosem — dlaczego kryjesz się przede mną? Czyż rzeczywiście myślałaś, że cię przeklinam? Otóż wiedz, że zawsze myślałem o tobie z miłością i modliłem się o twoje szczęście. Każde uderzenie mego serca biło dla ciebie. Miłość ku tobie wypełniła mi całe życie i żaden obraz nie zatarł mi twego pięknego oblicza, ty byłaś dla mnie całym światem, moim niebem, moim najdroższym skarbem i skarbem tym pozostaniesz do końca mego życia.

Upadł na kolana przed głęboko wzruszoną kobietą i patrzył na nią rozmarzonym wzrokiem.

Jak przed bóstwem klęczał ten człowiek przed kobietą, która mu złamała całe życie.

Nie odważył się nawet jej dotknąć, nawet nie próbował ucałować jej rąk, bo widział, że anioł śmierci wycisnął już swoje piętno na jej bladej twarzy.

— O Boże Miłosierny, dziękuję Ci, — zawołała księżna gorąco. — Teraz mogę już umrzeć spokojnie.

Niech ci Pan Bóg stokrotnie wynagrodzi, Umberto, za twoją miłość i przebaczenie. Jesteś niezwykle szlachetnym!

I ciebie też błogosławię, moje najdroższe dziecko. Wszechmocny Bóg

weźmie was w swoją przenajświętszą opiekę, bo jesteście dobrzy i czyści jak aniołowie.

Stroskana Hortensja uklękła obok wzruszonej kobiety.

Umierająca księżna kładąc swe blade dłonie na głowy Umberta i Hortensji, błogosławiła ich, a błogi uśmiech okrasił jej lica.

— Bywajcie zdrowi, moi kochani! — zawołała serdecznie.

Następnie westchnęła głęboko i padła nieżywa na poduszki.

Przerażona Hortensja starała się swą nieszczęśliwą matkę przywołać do życia, ale wszelkie jej usiłowania były daremne.

Błogi uśmiech pozostał na twarzy zmarłej, a oczy jej nie otworzyły się już nigdy.

Udar serca położył kres życia księżnej Irmgardy Iffalwi.

Po walkach życiowych i cierpieniach nastał dla niej wieczny spokój.



Jeszcze jedno zdjęcie księcia Chichibu i jego małżonki na pokładzie statku „Queen Mary", który ich przywiózł na uroczystości koronacyjne do Londynu.

ROZDZIAŁ CVIII

W sieci pajęczej.

Kilka dni upłynęło na leśniczówce w Königswalden całkiem spokojnie. — Mehlhose był nieprzerwanie czynnym, to znaczy zaznajamiał się i zaprzyjaźniał z mieszkańcami wioski. Przekamarzał się z dziewczętami, odbarzał dzieci najrozmaitszemi łakociami i rozmawiał poważnie z mężczyznami.

W przeciągu kilku dni udało mu się zupełnie zjednać sobie mieszkańców wsi.

Gdy wchodził do karczmy, rozmowa nie ustawała, a przeciwnie, chętnie ustępowano mu miejsca i przyjmowano z wdzięcznością ciemne cygara, jakie obcy malarz tak hojnie rozdawał.

— Zwykle przychodzili do nas panowie malarze tylko na wiosnę i w jesieni — mówił właściciel gospody jednego dnia — byłoby bardzo pięknie, gdyby im się i w zimie u nas podobało.

— No, mnie macie już u siebie — rzekł Jeremiasz z zadowoleniem.

— Bardzo nas to cieszy i jesteśmy z tego dumni — mówił gospodarz, zsuwając swoją czapeczkę na bakier — ale jedna jaskółka przecież nie stanowi jeszcze wiosny.

— Tak — rzekł Mehlhose — gdyby pan baron dał się nakłonić do tego, by pozwolił obcym oglądać swoją galerię obrazów i niektóre dzieła kopiować, toby malarze przybywali tu z różnych stron, ale pan baron widać nie należy do ludzi uprzejmych i nie ma żadnych względów dla ludzi niepochodzących ze stanu szlacheckiego. Zmarły pan hrabia był o wiele przystępniejszy.

Na tę wzmiankę zamyślił się gospodarz, porównując zmarłego pana z jego następcą; a tajny ajent tylko tego chciał.

Gdyby mieszkańcy Königswalden tylko trochę podejrzliwi byli, byłoby im to podejrzanem, że Mehlhose wogóle o nikim zresztą nie mówił, tylko o baronie Szturmfederze, kasztelanie Alojzym i o Józefie Majerze. Ale ponieważ nie byli z natury ani sprytni, ani podejrzliwi, nikt z nich się nad tym nie zastanawiał, że cała rozmowa mniemanego malarza, tylko około wyżej wymienionych trzech osób się kręciła.

Mehlhose nie dowiedział się prawie niczego, co by go interesować mogło, bo ci ludzie znali tylko takie szczegóły, które dla niego nie miały najmniejszego znaczenia, ale mimo to nie ustawał w swoich usiłowaniach.

W Felseg nie był powtórnie, bo ciągle deszcz padał i burze nie ustawały.

W Königswalden nie wiedziano nawet o tem, co zaszło z Ignacym, bo chociaż cyganie wiele paplają o sprawach dotyczących obcych, to w wielkiej tajemnicy zachowują wszystkie sprawy swoich współplemienników.

Już w dwa dni po wypadku Ignacego ruszyła się banda cyganów. Mężczyźni zlepili jakąś w pół zapadłą chatkę jako zimowe mieszkanie dla Ilony, jednej starej kobiety, jednego młodego chłopaka i Ignacego.

Pozostałym zostawiono środki żywności i pieniądze, a silny Markus starał się ich przekonać, że powinni żyć w zgodzie z tubylcami, to znaczy, że nie powinni niczego kraść, gdyż to uważa za najważniejszy środek do zgody.

Ilona miała już dawno swój plan gotowy. Gdyby Ignacy wbrew wszelkim oczekiwaniom odzyskał rozum, wtedy wyśle go ona tam, skąd już nikt nie powraca, aby mu usta na zawsze zamknąć.

Nie odważyła się teraz wrócić znowu do hrabiego, ani też nie wybrała się do Alojzego, chociaż wiedziała, że ponury ten człowiek nie może się długo na nią gniewać i że pierwszy podałby jej rękę do zgody.

Kasztelan odwiedził jednak swego więźnia i rozkoszował się widokiem jego niemej rozpaczy.

Nieszczęśliwy Werner, który się oddał krótkiej, a złudnej nadziei, że zobaczy za kilka godzin swoją narzeczoną, popadł w rozdrażnienie, graniczące prawie z obłędem, gdy się spostrzegł, że i ta nadzieja go zawiodła.

Nie myślał już o tym, co mogło Ignacemu przeszkodzić w dopełnieniu obietnicy.

Fakt, że Ignacy zostawił go bez pomocy, pogrążył go w apatii.

Mechanicznie przyjmował pożywienie, mechanicznie pił kawę i przyprawiał korzeniami ciepłe piwo, apatycznie też patrzył na to, jak go Alojzy przykrywał jeszcze grubszą i cieplejszą kapą, aby go ochronić od wichrów, które przez liczne rysy i szczeliny do chaty się wciskały.

Cóż go mogło obchodzić, gdy członki jego drętwiały prawie z zimna. Cóż go to mogło martwić, że życie mu skracają? Przecież i tak był żywcem pogrzebany. Niechby już teraz ponury Tanatos zabrał jego ciało. Jemu było już wszystko jedno.

Podczas, gdy hrabia Werner tak już zwątpił o wszelkiej nadziei szczęścia i życia, walczyła jego piękna i jak anioł czysta narzeczona o jego uwolnienie.

Może byłaby i wkrótce i cel osiągnęła, gdyby baron nie był swych sieci tak chytrze zarzucił.

List, którego baron aptekarzowi sfałszować kazał, poskutkował.

Sylwia dostała ów sfałszowany list, gdy była sama w mieszkaniu.

Jej przybrana matka zupełnie wyzdrowiała i była w kuchni zajętą, a ojciec jej wykonywał swoje obowiązki jako leśniczy — w tym to czasie listonosz wręczył list Sylwii.

Gdy Sylwia zobaczyła znane sobie pismo ręki ukochanego, opanowała ją nadzwyczajna radość.

Drżącymi ze wzruszenia rękoma otworzyła kopertę i czytała skwapliwie list.

Werner cierpi! Werner ginie w domu obłąkanych! On błaga mnie o pomoc i tylko we mnie pokłada nadzieję! Jakżeż mu pomóc? Jak mogę mu pomóc?

Wszystkie te myśli krzyżowały się w jej głowie.

Pierwsza jej myśl była pospieszyć do matki i przeczytać jej ten list; przy-

pomniała sobie jednak prośbę Wernera, aby nikomu tego listu nie pokazywać.

Dziwiło ją, że wie o pobycie Mehlhosego na leśniczówce. Ale czyż nie mógł się o tym przypadkiem dowiedzieć? Może posłyszał jak Egon z kimś rozmawiał?

Zdawało się jej, że teraz sobie dobrze tłumaczy często wyjazd barona z zamku Felseg. Przypuszczała że baron odwiedzał teraz swego więźnia w zakładzie dla obłąkanych.

Chciała za każdą cenę udać się do Wiednia, bo na liście była wiedeńska pieczątka pocztowa.

Z błyskawicznym pośpiechem spakowała kilka niezbędnie potrzebnych rzeczy i trochę pieniędzy i napisała na kartce papieru następujące słowa:

Kochani Rodzice!

Otrzymałam wiadomość od Wernera. On żyje, jest zdrów i pokłada nadzieję tylko we mnie. Nie dozna też zawodu! Za kilka dni zobaczymy się znowu, moi ukochani rodzice. Nie ufajcie Mehlhosemu, gdyż jest on szpiegiem barona! — Módlcie się za nas! Módlcie się, aby mi Werner był wrócony! Przebaczcie mi, że wam znowu swoim tajemniczym wyjazdem sprawiam przykrość! Nie mogę inaczej! Muszę błagalnego głosu Wernera słuchać!

Wasza kochająca Was

Sylwia.

Złożyła kartkę, zaadresowała i zapieczętowała, po tym wysunęła się cicho, jak złodziej z domu rodzicielskiego.

Przez gościniec szła szybko, jakby ją kto gonił. Deszcz lał strumieniami, wiatr zrywał jej kapelusz z głowy, rozwiewał jej płaszcz i poruszał tak silnie gałęźmi drzew, że uderzały ją czasem w twarz.

Nie zważając na te wszystkie przeszkody śpieszyła dalej, bo przecież zależało jej, by przybyć na czas do pociągu.

Sylwia nie odważyła się dać parobkowi rozkazu, by konie zaprzągł i zawiózł ją do miasta, bo nie chciała, żeby parobek poszedł do swej pani spytać się, czegoby z różnych kramików miejskich przywieźć.

To jedno pytanie wywołałoby ze strony jej matki tuzin różnych pytań, a Sylwia nie byłaby w stanie okłamać swoją ukochaną matkę.

Ponieważ chciała na każdy sposób uczynić zadość prośbie Wernera, musiała uniknąć tej rozmowy.

Gdy się już o przeszło ćwierć mili oddaliła od domu, spotkała wieśniaka, który na swoim zgrabnym wózku jechał do miasta.

— O Boże! panna z leśniczówki! — zawołał zdziwiony. — Czy panna piechotą chce się dostać do miasta?

— Tak — odrzekła Sylwia.

— O, na to ja się nie zgodzę! — zawołał poczciwy człowiek. — To byłoby ładnie, gdyby panna piechotą szła do miasta, po tej złej drodze, podczas gdy u mnie na wózeczku zmieściłyby się jeszcze dwie takie panie.

Proszę wsiąść! Ja przykryję pannę derką od koni i za dobrą godzinę będziemy w mieście. A dokąd to panna się wybiera?



Przywódca niemieckiej partii narodowo-socjalistycznej, dr. Ley, bawił ostatnio w Włoszech, gdzie był witany życzliwie, jak to widzimy na zdjęciu, przez italskich robotników, należących również do partii socjalistycznej.

— Do Wiednia — odrzekła Sylwia i lekko wspięła się na wóz, siadając obok wieśniaka.

— Taką daleką podróż odbędzie panna w tych mokrych sukniach? — zapytał wieśniak. — Mama dobrodziejka jest zresztą tak przezorną! Ja nawet pojąć nie mogę, jak matka mogła wypuścić pannę w tę słotę i to jeszcze pieszo do miasta.

— Namyśliłam się tak szybko i niespodzianie do wyjazdu i musiałam się wybrać bardzo śpiesznie z domu, aby zdążyć do pociągu — usprawiedliwiała się Sylwia.

— A jeżeli tak, to pewnie nie było o tej porze koni w domu — mówił wieśniak.

Był bardzo troskliwy dla swej towarzyszki, zarzucił na nią derkę od koni, podsunął wiązkę słomy pod jej zmoczone obuwie, a wkońcu chciał ją nawet wódką poczęstować.

— Ja też myślałem — odrzekł wieśniak zakłopotany, gdy Sylwia tego nie przyjęła i podziękowała mu za jego dobroć. — Panie nie piją wódki, ale kilka kropel nieraz dobrze służy, jeżeli się je weźmie w porę.

Sylwia tak była zatopiona w myślach, że tych słów wcale nie słyszała.

Ciągle przypominała sobie list Wernera i rozmyślała o tem co pisał.

Jeżeli owa dobroduszna krawczyni utrzymywała, że hrabia Wildenstein gwałtem jest przetrzymywany w zakładzie dla obłąkanych, dlaczegożby ona nie podała jej adresu tego zakładu? Dlaczego sam Werner pisze o tym tak niejasno?

Ale, prawda! Werner musiał te słowa pisać w wielkim pośpiechu! Przecież był więźniem, którego tam pewnie z oka nie spuszczano.

Teraz ogarnęła ją znowu niepewność, czy zdąży na czas do pociągu.

— Która godzina teraz? — zapytała wieśniaka.

— Już dziesiąta — odrzekł.

— W takim razie spóźnimy się do pociągu — zawołała młoda dziewczyna i załamała w rozpaczy ręce.

— Nie, nie panienko, ja i moje konie zawieziemy panienkę szczęśliwie i na czas — pocieszał wieśniak młodą dziewczynę. — Pędźcie koniki i pokażcie, co umiecie.

Uderzył konie biczem, a one pomknęły tak szybko, że nawet woda nagromadzona w wózku wskutek deszczu, wychlapywała się z wozu.

Sylwia zamyśliła się znowu.

Nagle powiedziała głośno:

— Gdyby to nie było jego pismo, mogłabym w tem wszystkiem domyślić się jakichś intryg.

— Czy panna mówiła co do mnie — zapytał wieśniak.

— Nie — odrzekła Sylwia z roztargnieniem.

— Panna na śmierć zamartwia się obawą, że nie przyjedzie na czas do pociągu — mówił dalej uczciwy wieśniak — ale zapewniam panią, że niema nawet obawy. Niech panna patrzy, o, już widać drogowskaz, a za kwadrans będziemy napewno w mieście!

— Ale dworzec leży na drugim końcu miasta — zawołała Sylwia trwożnie. — Trzeba dobrych dwudziestu minut jechać, aby się tam dostać.

— Niech się panna nie boi, zajedziemy na czas, mówił towarzysz Sylwii i dotrzymał też słowa.

Wiejski wózek stanął przed dworcem, gdy dano pierwszy sygnał do odjazdu.

Sylwia nie zatrzymała się nawet, aby bilet kupić, tylko wskoczyła do pierwszego otwartego przedziału wagonów kolejowych.

Skinęła na konduktora, wsunęła mu w rękę obfity napiwek i prosiła, by kupił jej bilet.

(Ciąg dalszy na stronie 337)

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofii

ADRESY!

O adresy, celem przesłania listów znajdujących się w redakcji, są proszeni: „Jasne Słoneczko", „Wesoły Toruniak", „Irka z Torunia", „Wesoły Cowboy", „Jana — góralka z pod „Klimczoka", „Leśniczanka z pod Jarocina", „Zrównoważony", „Samotna Kukułka". „Stenia z Ina", „Rudi", „Ziemianin S.", „Smutna Iwonka", „Samotny Genio", „Stokrotka". „Złotowłosy Cherubinek", „Barcia", „Lotos", „Szarotka — Bydgoszczanka", „Biały Wrzos", „Niebieskooka Torunianka", „Ada z pod Wolsztyna", „Leniuszek", „Biały Tulipan".

ZMARTWIŁAM SIĘ

„Elżunia z Torunia". Dziękuję Pani za ostatni śliczny liścik. Stęskniłam się już za słowami Pani i naprawdę zmartwiłam się, że chce Pani opuścić „Krainę". Zamążpójście swoją drogą i kontakt z „Krainą" swoją drogą — czy nie mogłaby Pani tak się urządzić? Do naszej olbrzymiej „Rodzinki" należy przecież nie tylko sama młodzież, bo „Kraina" to kącik, w którym każdy Czytelnik „Moich Powieści" może wypowiedzieć się szczerze z swoich trosk, kłopotów, radości i doznać ukojenia. Do „Krainy" należą i mężatki, a więc i Pani może śmiało utrzymywać dalej z nami kontakt. Pomyśli jeszcze Pani nad tym, prawda? Proszę przyjąć ode mnie słowa prawdziwej serdeczności i sympatii!

Od „Elżuni z Torunia" dla Sympatyków:

„Moim Najmilszym Przyjaciółkom — Haneczce, Krzysi i Steni przesyłam moc buziaków.

„Mixerowi" dziękuję za pozdrowienia i odwzajemniam je.

„Wirrytowi" ślę milutki uśmiech. Tak samo tym, którzy mnie znają i tym, którzy nigdy o mnie nie słyszeli".

DZIĘKUJĘ SERDECZNIE!

„Wiarus — Murzynek". W pierwszym rzędzie dziękuję Panu serdecznie za przemiły nagłówek listu, no i za sympatyczne zakończenie czwartej stronicy listu. Mimowoli zrobiło mi się pogodniej na sercu, gdy odczytywałam te radosne, żołnierskie słowa z białych zgrabnych arkusików. Nie ma to, jak list żołnierski! Zawsze tchnie z niego jakaś siła, rzeźkość i cudowna pogoda. Do listu takiego chętnie powraca się i poraz drugi, jak np. mnie się zdarzyło. Najwięcej przypadło mi do gustu to, że zamierza Pan zjawić się w najbliższym czasie w Żninie, aby mnie poznać. Proszę bardzo, ale przed tym musi mnie Pan zawiadomić o dniu i godzinie przyjazdu, abym była w Żninie. Żegnam Pana miłymi pozdrowieniami!

Na zakończenie jeszcze trochę wiadomości od Pana:

„Dzikusko", jeżeli jesteś pewną, że korespondencja ze mną przyniesie Ci zadowolenie, daj odpowiedź na mój list, dobrze?

„Rozkosznej Ninie" ślę moc szczerych życzeń na przyszłość. A może my się znamy?

Wszystkim innym, aby wreszcie skończyć, przesyłam uściski, całusy i brzęki ostróg".

O KLASZTORZE NIE MOŻE BYĆ MOWY!

„Niebieskooka Zinka". Nie mogła Pani inaczej postąpić, jak tylko odpalić „niefortunnych amantów". To pochwalam u Pani! Mąż musi być zawsze dla żony przyjacielem, a nie tylko finansową podporą i pewnego rodzaju reprezentacją. To rozumie zresztą Pani doskonale, jak zdążyłam zauważyć z Pani listu. Cieszy mnie to, że do kwestii tak poważnej, jak małżeństwo, podchodzi Pani ostrożnie i rozsądnie. Z tego wnioskuję, że zrobi Pani wybór na prawdę dobry i wartościowy. O klasztorze nie może być mowy! Raczej już o szybkim zamążpójściu!! !

Pozdrowienia, przeznaczone przez Panią dla: „Jasieńki", „Lusi — Szczebiotki" i „Małej Konwalijki" — przekazuję!

TĘSKNOTA... JESZCZE NIEWIADOMO ZA CZYM...

„Ali — Alu". Bardzo mi miło, że zajmuje się Pan tak gorliwie propagandą „Moich Powieści". Dziękuję Panu za to w imieniu naszego wydawnictwa.

O ile nadejdą dla Pana jakieś listy, natychmiast je Panu przekażę. A teraz apel o te listy:

„Los tak pokierował moim życiem, że znalazłem się tutaj na pustkowiu, gdzie szczerze odczuwam brak odpowiedniego towarzystwa. Poza tym tęsknie ustawicznie za czymś nieuchwytnym — może to pragnienie jakiegoś wielkiego szczęścia a może chęć posiadania subtelnego i kochającego serca kobiety. Czekam z niecierpliwością na pierwszy list i pozdrawiam wszystkich Nieznanych, zrzeszonych w naszej olbrzymiej „Rodzince".

PROŚBA O WIERSZYK

„Smutne Serce". Nie powinna Pani przejmować się tym, że ludzie śmieją się, że narzeczony Pani jest młodszy od Pani dwa lata. Powinno Pani wystarczyć, że kocha go Pani z pełną wzajemnością. Wszystko inne to absurd! Dla ludzi nie może przecież Pani rezygnować ze swego szczęścia, prawda? Zatem trochę opanowania i pewności siebie, „Smutne Serduszko"! Wszystko będzie dobrze! Ludzie przestaną być złośliwi, a wierność Pani zostanie wynagrodzona.

Pragnęłaby Pani otrzymać jakiś liścik, który wlałby otuchę w serce Pani, a więc zachęcam Miłe Panie z „Krainy", aby napisały do Pani.

Równocześnie proszę w imieniu Pani „Białą Uajali" i „Maleńką Dzidzi" o wierszyk, któryby zawierał jak najlepsze życzenia dla kochanej osoby".

O SWOJE DALSZE LOSY MOŻE BYĆ PAN ZUPEŁNIE SPOKOJNY!

„Jeden z Kujaw". Do „Krainy" przyjmuję każdego z otwartymi ramionami, a nigdy nikogo stamtąd nie wyrzucam. Może więc być Pan zupełnie spokojny o swoje dalsze losy w naszym gronie. Zdaje się, że będą one raczej radosne, niż smutne.

„Już od bardzo dawna — pisze Pan dalej w swoim liście — chciałem wstąpić do „Krainy", ale tak na prawdę zdecydowałem się dopiero dzisiaj.

Dla wyjaśnienia muszę dodać, że nie jestem Kujawiakiem, jak możnaby to wnioskować z mego listu, lecz od pewnego czasu znajduję się tutaj, na Kujawach. Większość czasu pożera mi praca, której oddaję się z zamiłowaniem. Może zainteresuje się ktoś moją osobą? Mam lat 25. Pracuję w agencji pocztowej. Bardzo miłe pozdrowienie przesyłam „Marylce z nad Warty", „Dumce", „Aniteńce", „Lotosowi" i „Dzikusce z pod Warszawy"! Adres mój brzmi: poste — restante, Wierzchosławice, pow. Inowrocław, (dla „Jednego z Kujaw".)

MOŻE PRZEZ TO ŻYCIE BĘDZIE ZNOŚNIEJSZE...

„Złamana Brzózka". Jedno powinno Panią cieszyć, mianowicie to, że człowiek, który w przyszłości będzie towarzyszem życia Pani, jest dobrym. To już wiele! Niech odpłaci mu się Pani dobrem za dobro i wyrzuci z serca swego ten okrutny żal. Może przez to życie Pani będzie znośniejsze i jakoś zżyje się Pani z niekochanym mężczyzną.

Byłabym bardzo zadowoloną, gdyby nadesłała mi Pani swój adres. W liście mogłabym bowiem pogawędzić z Panią obszerniej, podczas, gdy na łamach „Krainy", tego zrobić nie mogę.

O powieści Mniszkówney — „Trędowata" trudno mi powiedzieć Pani coś konkretnego. Na temat jej krążą różne pogłoski i domysły, czy jednak polegają one na prawdzie — nie wiem!

P. H. K. wyszła za mąż w ub. roku, a obecnie jest mamusią prześlicznej córeczki. Pracuje nadal literacko, a równocześnie uchodzi za bardzo wzorową panią domu.

Odpowiedź moją dla Pani kończę jak najserdeczniejszymi pozdrowieniami!

PROSZĘ SPRÓBOWAĆ OTRZĄSNĄĆ SIĘ Z APATII

„Zapomniana Sylena". Stanowczo jednak radzę Pani spojrzeć jaśniej na świat. Lepiej sugerować się radością, niż beznadziejnym smutkiem. Tak chciałabym dowiedzieć się, że już lepiej Pani, lżej i pogodniej, a tymczasem listy Pani są coraz więcej smutne. Wierzę, że to trudno otrząsnąć się z apatii, ale przy pomocy silnej woli udaje się i to. Proszę więc spróbować! Całuję smutne oczy Pani!

Od „Zapomnianej Syleny":

„Lusiu — Szczebiotko" i „Słodka Danusiu" pozdrawiam Was, Kochane Dziewczynki i proszę, napiszcie do mnie. Potrzebuję trochę dobrych słów, gdyż czuję się bardzo smutna i opuszczona.

Znam cośkolwiek okolice Szamotuł, a więc proszę o kilka słów i „Podszamotulankę".

Bratnie uściski dłoni ślę „Smutnej Irze", „Tuberozie", „Marcie", „Steni ze Żnina", „Rozpieszczonej Kotce", „Szarotce" i „Bursztynowemu Serduszku". Wymienione Panie proszę również o listy.

Hallo! „Młody Techniku", czy nie zechciałbyś zainteresować się „zagadkową osóbką"? A może Ty, „Edku z Gdyni"?

„Rybakowi z Helu" — moc pozdrowień i też prośbę o liścik!"

WYOBRAŻAM SOBIE...

„Czarodziejka". Niecierpliwie oczekiwana przesyłka za pewnie doszła już do Pani rąk? Jeżeli tak, wyobrażam sobie, jak miło ją Pani przyjęła i z jaką radością zabrała się Pani do dania odpowiedzi na liczne liściki.

Ograniczam się dzisiaj tylko do tych paru słów i na zakończenie udzielam głosu Pani:

„L'esprit inquiet"! Ślę Panu najszczersze podziękowania za ofiarowany mi wiersz. Wdzięczna Ci jestem za niego, „Niespokojny Duchu" i proszę, napisz do mnie. Wydaje mi się, że nie pożałujesz tego!"

PROŚBA O LIŚCIK

„Myśliwy", znudzony stałą samotnością, radby nawiązać korespondencję z jakąś na prawdę miłą panią. Jak wskazuje Jego pseudonim jest zapalonym amatorem polowań. Pisze, że strzela wszystko: kaczki, zające, dziki itd. Nie jest tylko pewny, czy uda mu się również upolo-

wać jakąś smukłą, jak sarenka i smętną, jak gazella, panienkę.

„Myśliwy" przesyła wiele miłych pozdrowień „Czarodziejce", „Echu Wsi" i „Rozkosznej Dziewczynce" i załącza prośbę o liściki.

CZY MARZENIE SPEŁNI SIĘ?

„Samotna Włościanka". Wreszcie przyszła kolej i na list Pani. Umieszczam go z serdecznym życzeniem, aby odbił się jak najmilszym echem w sercach Sympatyków „Krainy":

„Życie moje pędzę na wsi. Jestem jedynaczką. Gospodarstwo nasze jest położone w uroczej okolicy, nad własnym jeziorem. Jedyną moją rozrywką to radio. W lecie urozmaicę sobie trochę więcej czas, ale na razie słucham tylko cudnych melodyj, interesujących odczytów, słuchowisk itd., oraz marzę o nawiązaniu korespondencji skimś miłym. Czy marzenie to spełni się nie wiem, chociaż mam cichutką nadzieję, że tak!"

PRZYJAŹŃ

„Miluś II". Dobrą i trwałą przyjaźń zwykle trudno znaleźć, ale może znajdzie ją Pan w „Krainie". Cieszyłabym się bardzo, gdyby tak się stało. A teraz coś o Panu:

„Miluś II." to podobno ujmujący młodzian o szczerym i miłym usposobieniu. Zamieszkuje jedno z najpiękniejszych i najwięcej znanych miast Wielkopolski.

W liście swym do mnie pisze, że nie napotkał jeszcze dotąd prawdziwej przyjaźni, może więc ktoś z Sympatyków ofiaruje „Milusiowi II" swą przyjaźń?

POZDROWIENIE Z NAD BAŁTYKU

„Księżniczka Tirsa" przesyła miłym „Krainiakom" moc pozdrowień z nad sinych fal Bałtyku. Jednocześnie załącza prośbę o liściki. Najchętniej nawiąże korespondencję z jakimś Gdańszczaninem.

ŻAŁUJĘ...

„Dumka". Bardzo pięknie opisała Pani swój powrót z Wołynia do domu. Jakże żałuję, że nie mogę z Panią posłuchać tego cudnego szumu leśnych drzew, które po tylu miesiącach rozłąki znowu witają Panią. Może wyszumią one Pani i pozdrowienia ode mnie — proszę, niech tylko Pani uważnie słucha!

Łączę uścisk dłoni i równocześnie proszę P. o częstszą pamięć!

„PRAGNIEMY KORESPONDOWAĆ SKIMŚ SMUTNYM I SAMOTNYM"...

„Margaretka" i „Biała Kalia", dwa śliczne kwiatki z wiejskiego ogródka, zapukały dzisiaj do „Krainy" i przedstawiły mi następujące:

„Mieszkamy w pięknie położonej wiosce i czujemy się bardzo szczęśliwe. Wieś nasza leży pod ciemnym borem, w pobliżu dużego jeziora. Nie mamy tu nikogo bardzo nam życzliwego, dla tego pragniemy za pośrednictwem „Krainy" nawiązać korespondencję skimś smutnym i samotnym, którego losy rzuciły w dalekie, obce strony. Listami swymi chciałybyśmy rozproszyć natręctwo niemiłych myśli takiego samotnika i w serce jego wlać trochę pogody".

KTÓRA?

P. K. R. K. Apel Pana zamieszczam bardzo chętnie, tylko, niestety nie pod pseudonimem, gdyż nie mogłam go odczytać. Łączę dla Pana miłe pozdrowienia i wiadomość, że do prośby Pana odniosłam się jak najprzychylniej.

„Hallo! „Rybaku z Helu"! Zainteresowałem się Tobą. Napisz do mnie, proszę, a w odpowiedzi otrzymasz sążnisty list. Kiedyś i ja mieszkałem na Helu, może więc się znamy?

A teraz, która z miłych Pań napisze do urwisa pierwszej klasy?"

TRZY PRZYJACIÓŁKI CHĘTNIE NAWIĄŻĄ KORESPONDENCJĘ

„Lunia", „Iza" i „Eluśka". Daremne są moje usiłowania — nie mogę sobie przypomnieć Pani. Natomiast doskonale przypominam sobie p. Halę.

Ogromnie mi miło, że proszą mnie Panie o pośrednictwo w nawiązaniu korespondencji. Służę nim jak najchętniej! W pierwszym więc rzędzie zamieszczam apel Pań i przyrzekam przekazać Paniom listy, tylko proszę o adres, bo bez niego nie mogłabym dostarczyć Paniom korespondencji.

„Do „Krainy" znów pukają trzy przyjaciółki, którym brak wszelkich rozrywek i towarzystwa. Spodziewają się, że wymiana myśli z osobami, należącymi do „Rodzinki", przyniesie im dużo zadowolenia".

LISTEM SPRAWIŁ MI PAN RADOŚĆ

„Nynek". Nie przysporzył mi Pan absolutnie żadnego kłopotu swoim listem, przeciwnie, sprawił mi nim radość. To tak miło dowiedzieć się, że się jest pożytecznym, że praca przynosi jakieś skutki!

Kilka słów Pana zamieszczam i pozdrawiam Pana jak najserdeczniej.

„Bogdzi z pod Poznania" i „Ar" przesyłam miłe podziękowanie za nadesłane liściki.

„Nieznana Janeczko", czekam!"

ZAMIESZCZĘ W NASTĘPNYM NUMERZE

„Ikar III". Mina rzeczywiście sroga, jak... „u złego szewca". No, ale trudno się nie zirytować, gdy nagle ni stąd ni z owąd motor się popsuje, a do celu podróży jeszcze daleko...

„Podróż z przygodami" zamieszczę w następnym numerze. Wyobrażam sobie, z jakim zainteresowaniem przeczytają sobie wszyscy Sympatycy wrażenia Panów z niefortunnej wyprawy do S. Uśmieją się zapewne przy tym, podobnie, jak i ja się uśmiałam. Pozdrawiam serdecznie i Pana i „Jesiona".

POZDROWIENIA

„Szczera Ślązaczka" przesyła „Solidnemu Ślązakowi serdeczne pozdrowienia, oraz prośbę o liścik.

DLA KAŻDEGO COŚ...

„Ryśka D." przesyła „Bajce" serdeczny uścisk dłoni, „Stelli Maris" — buziaki i pozdrowienia, „Złoteńku" — uścisk dłoni i prośbę o list P. R. K. — pozdrowienia i zawiadomienie, że list czeka na poczcie i „Blondynkowi z Pałuk" — podziękowanie za pozdrowienia, które odwzajemnia.

JESTEM BARDZO WDZIĘCZNA...

„Biała Niezapominajka", „Szkarłatna Róża" i „Złoty Promień". Jestem bardzo wdzięczna, Kochanej Trójce, że gotuje mi taki piękny rewanż. Ściskam mocno łapięta i dziękuję serdecznie za nadesłane pozdrowienia w imieniu Wujka Janusza i swojem!

Z listu trójki miłych dziewczynek:

„Hallo! „Nellu", „Dziewczę z dalekiej Ojczyzny", „Lawrence", „Zdobywco Serc" i „Tu — Ryszardzie"! Czy możemy się spodziewać jakiegoś odzewu z Waszej strony?"

POZDROWIENIA

„Zink" przesyła z Żnina moc pozdrowień dla „Marteczki".

JEŻELI BĘDZIECIE MIELI OCHOTĘ...

„Hallo! Mieszkanki i mieszkańcy z nad Bałtyku! W czerwcu rb. wybieram się na Święto Morza do Gdyni. — Jeżeli więc będziecie mieli ochotę poznać Waszą siostrzyczkę z „Krainy", która dzieli od Pomorza duży szmat ziemi — napiszcie do niej parę słów, a z przyjemnością postaram się z Wami spotkać.

Łączę dla całej „Rodzinki" milutkie pozdrowienia. — Specjalne dla Pomorzanek i Pomorzaków".

Teczka Wujka Janusza

W WIERSZU ZA DUŻO PESYMIZMU!

P. H. K. Toruń. Do wierszy Pani mam zasadniczo zaufanie i prawie zawsze je zamieszczam, jak zapewnie zdążyła Pani zauważyć. I ostatni wierszyk Pani przypadł mi do gustu, tylko jest w nim stanowczo za dużo pesymizmu. Poczekam więc na inny wierszyk Pani, pogodniejszy, a „Dwa słońca" odkładam narazie do teczki.

Ślę Pani dużo serdecznych pozdrowień!

RĘKOPISY NOWEL PRZYJMUJĘ JAK NAJCHĘTNIEJ DO OCENY

„Romantyczny Śpiewak". Nadesłane rękopisy, zgodnie z życzeniem Pana, przejrzałem jak najdokładniej. Szarady i logogryfy przekazałem do działu — „Chwila zastanowienia", wierszyki zaś — przeznaczyłem na zagładę, gdyż charakterem swoim nie nadawają się do „Moich Powieści". Może napisze Pan coś spokojniejszego, mniej erotycznego, a chętnie zamieszczę.

Rękopisy nowel przyjmuję zawsze jak najchętniej do oceny. Może więc Pan swoją nowelę śmiało przysłać.

Łączę dla Pana miłe pozdrowienia i uścisk dłoni.

DZIĘKUJĘ ZA PAMIĘĆ!

„Bajka". Z całego serca dziękuję za pamięć! Apel Pani poleciłem zamieścić p. Zofii. Pozdrawiam i czekam na dłuższy list od Pani.

ZNALAZŁEM WSZYSTKO...

„Przedwiośnie". W ostatnim liście Pani znalazłem wszystko: i pierwsze uśmiechy wiosny i zapach kwiatów, błękit nieba, smutek, tęsknotę i uśmiech drżących, dziewczęcych usteczek. Cały jestem pod wrażeniem tego listu. Wrócę jeszcze nieraz do niego, bo list ten przypomina mi trochę swoją treścią następujący bardzo piękny wierszyk, który zabłąkał się w mej pamięci:

W pysznych pałacach wielu się pytało
W pośród przesytu, zniechęcenia, nudy,
Dlaczego życie ma wdzięku tak mało,
A na tak wielkie naraża nas trudy?
A w niskich chatkach klękają z podziwem
Przed tą miłością niezgłębioną, wieczną,
Co nowych skarbów codzień darzy żniwem
I świat opieką otacza serdeczną.

Ściskam Pani serdecznie na pożegnanie rączki i proszę Panią o nowy liścik — koniecznie taki nastrojowy, jak ostatni. Zgoda?!

WYSTARCZY ZDECYDOWAĆ SIĘ NA JEDNO...

„Kochanie". „Nigdy" — to słowo ogromnie beznadziejne i brzmiące rozpaczliwie. Nie powinna go Pani użyć w liście do mnie, bo przecież Żnin nie leży na kraju świata, przeciwnie leży w pobliżu ośrodka, którym zainteresował się od niedawna cały świat, mianowicie Biskupina. Przyzna więc Pani, że nietrudno znaleźć się w Żninie, wystarczy zdecydować się tylko na jedno: „podczas tegorocznych wakacyj zwiedzę sławną, prasłowiańską osadę w Biskupinie i przy tej okazji wpadnę do Żnina zobaczyć tajemniczego Wujka Janusza — podejrzewają go ostatnio, że chodzi w spódniczkach, a więc zobaczymy czy to prawda!"

Nie wiem, czy już Panią trochę przekonałem. Oby!...

Pozdrawiam Panią jak najserdeczniej i czekam na nowe wiadomości!

Przedstawicielami tego typu są dziś najbardziej popularni amanci filmowi. Pod wpływem filmu nowoczesny ideał mężczyzny spopularyzował się w całym świecie. Dzisiejsze panny nie marzą już o długowłosych poetach, ani o zblazowanych lwach salonowych, — lecz uosabiają swój ideał w rosłym, wygimnastykowanym, radosnym, energicznym chłopcu, który zamiast płaczliwie przemawiać, imponuje swą siłą moralną i fizyczną.

Jakże daleko odbiegliśmy od Werthera!

Raj kobiet

Na Wiosnę



S 22520 S 22496 S 22495 S 22483

S 22520. Nowy fason kostiumu spacerowego z lekkiej wełny: dół żakietu kloszowy, kołnierz, obszyty taśmą jedwabną. Potrzebna ilość materiału 3,10 m. szer. 130 cm.

S 22496. Sportowy kostium z męskiego materiału o naszytych kieszeniach. Spódniczka na przedzie rozcięta, przybrana guzikami. Ilość materiału 3,10 m. szer. 140 cm.

S 22495. Piękny kostium, dzięki prostej a wykwintnej linii, odpowiedni na każdą porę dnia. Ilość materiału 2.45 m. szer. 130 cm.

S 22483. Pani, chcąc być dobrze ubraną może sprawić sobie ten efektowny kostium, wykonany z tafty w kratę. Potrzeba na to około 2,85 m. tafty, szer. 130 cm.

Kroje powyższe (Beyera) nabyć można w naszej administracji w cenie 2,00 zł.

Dzisiejszy mężczyzna musi imponować kobiecie siłą moralną i fizyczną

Damska moda zmienia się nieustannie, robiąc nieraz ekstrawagancyjne skoki. Jednego roku modne są kapelusze duże, drugiego akurat malutkie. Suknie zmieniają fasony tak zasadniczo, że suknia modna w jednym roku, w drugim roku może wyglądać śmiesznie.

Jeżeli przypadkowo dostaje się nam do rąk fotografia znajomych pań, pochodząca z przed, powiedzmy, pięciu lat, nie możemy wstrzymać się od uśmiechu. Co za kapelusze! Jakie zabawne suknie! Fryzury niemożliwe!

A jednak panie te podczas zdejmowania fotografii robiły wrażenie estetyczne, bo były ubrane według ówczesnej mody.

Jeżeli natomiast oglądamy fotografie panów, datowane choćby przed 10-ciu latami, nie zauważymy wielkich i istotnych różnic między ich ubraniem, a ubraniem obecnie noszonym.

Są wprawdzie drobne zmiany w kroju ubrania, fasonie kołnierzyka, czy krawata, lecz zmiany te dają się zauważyć dopiero przy bliższym i bardzo **uważnym rozpatrzeniu fotografii.**

Mężczyźni są o wiele konsekwentniejsi w stroju od dam. Różne się na to składają przyczyny. Niewątpliwie najważniejsze są natury ekonomicznej. Poprostu mężczyźni są praktyczniejsi, dłużej noszą ubrania, które zresztą są też bardziej trwałe od strojów damskich. Nawet bardzo dbający o wygląd mężczyzna, może śmiało włożyć zrobione przez 10-ciu laty ubranie i nie będzie w nim wyglądał śmiesznie.

Jeżeli natomiast weźmiemy dłuższe okresy czasu, to wtedy możemy stwierdzić, że typ wytwornego mężczyzny ulega bardzo zasadniczym zmianom i to nie tylko pod względem wyglądu, ale pod wzgl. istoty wewnętrznej.

Płaczliwy młodzieniec z epoki romantyzmu, wygłaszający napuszone tyrady sztucznym stylem, wydałby się nam dzisiaj więcej śmieszny nawet przez swe zachowanie, aniżeli przez niemodny strój. Dandys z epoki drugiego cesarstwa swoim sposobem bycia, swoimi bokobrodami i kwadratowym monoklem, wzbudziłby efekt komiczny.

Ale nawet typy modne nie tak dawno, bo przed wielką wojną, typy tak zwanych wówczas dekadentów, którzy starali się imponować swym przeczuleniem i egzaltacją, dziś byłyby śmieszne.

Typ nowoczesnego mężczyzny daleko odbiega od typu lat przedwojennych. Przede wszystkim jest to typ człowieka zdrowego moralnie i fizycznie. Poetyczna deklamacja, sentymentalizm i przeczulenie nie są dziś modne. Dzisiejszy ideał kobiet, to sportowiec, zgrabny, śmiały, zachowujący się bez pozy naturalnie, **nie jako adorator, a jak dobry kolega.**

HIGIENA I ZDROWIE

Choroba jak wróg zdradziecki czyha z ukrycia

Przed piętnastu laty — pisze w czasopiśmie lekarskim „Med Klinik" prof. Hamburger z Wiednia — przewieziono mi podówczas jeszcze do kliniki chorób dziecięcych w Grażu, dziecko chore na epidemiczne zapalenie opon mózgowych. Otóż dziecko to przywieziono z zapadłej, odległej wioski, górskiej. Szczegółowe wywiady wykazały, że ani w najbliższej, ani w dalszej okolicy tej wioski nie notowano żadnych wypadków zachorowania na tę chorobę.

Po czterech latach przywieziono do kliniki w Graży z rzędu drugie dziecko z tej samej wioski — i to dziecko chore było na zapalenie opon mózgowych. Odrazu wówczas byłem już przekonany, że we wiosce tej musi żyć, jakiś, pozornie zdrowy nosiciel zarazków zapalenia opon mózgowych. Człowiek ten wydziela stale nieznaczną ilość tych zarazków. Ilość ta jest zbyt mała na to, by wywołać prawdziwą chorobę. Od czasu do czasu natomiast wydziela ów nosiciel olbrzymie ilości zarazków, zakażając wówczas osoby zdrowe swego najbliższego otoczenia.

Najgroźniejszymi roznosicielami zarazków są ludzie, którzy noszą na błonie śluzowej nosa lub jamy ustnej żywe, zjadliwe zarazki zapalenia opon mózgowych, dyfterii i paraliżu dziecięcego. Sami nie chorują — są oni bowiem na te choroby uodpornieni. Zakażają natomiast swe otoczenie, siejąc wokoło śmierć, kalectwo i ciężkie choroby.

Z pośród dziesięciu osób zakażonych zarazkiem paraliżu dziecięcego (choroby Heine Medina), dziewięć choruje tylko na katar, jedno dziecko zaś budzi się nazajutrz z porażonymi nóżkami. Pozostałe dzieci roznoszą wraz z „katarem" zarazki swej choroby wśród zdrowego otoczenia, siejąc wszędzie straszną chorobę. A zatem choroba Heine Medina może czasem przebiegać w postaci banalnego kataru. Następnie ulega ten „katar" wyleczeniu i dziecko przestaje być siewcą choroby. Po pewnym czasie jednak — np. po kilku latach — może przyjść nawrót, czyli recydywa „kataru" i zarazki, które przez cały ten czas wegetowały w ukryciu w jakimś zaułku lub fałdzie migdałka np. teraz rozmnażają się ze zdwojoną siłą i znowu stają się źródłem strasznej choroby, zakażając niczego się nie spodziewające otoczenie.

Tak samo bywa z zapaleniem opon mózgowych, z dyfterią, tyfusem brzusznym — a prawdopodobnie również i z wieloma innymi chorobami.

Tylko dokładne, systematyczne badanie bakteriologiczne wszystkich tych osób, które na choroby zakaźne chorowały i ich najbliższego otoczenia, pozwoli wykryć i przez odpowiednie leczenie unieszkodliwić tych groźnych siewców choroby i śmierci.

Ze świata

Statyści dworskiej ceremonii angielskiej

Nieodłącznymi uczestnikami wszystkich ceremonii na dworze angielskim, w których król bierze osobiście udział są słynni od wieków „jomenowie". Któż nie zna tych dziwacznie ubranych gwardzistów: na głowie płaski cylinder, zamiast munduru tunika z ciemno-czerwonym kołorze ze złotymi ozdobami czerwone, krótkie, bufiaste spodnie i czerwone pończochy, czarne półbuciki, prócz tego biała kryza na szyi, białe rękawiczki i białe podwiązki pod kolanem i przy bucikach. Broń „jomenów" stanowi średniowieczna halabarda i miecz.

Pierwszy oddział „jomenów" utworzony został w r. 1485 i w liczbie 50 ludzi brał udział w ceremonii koronacji króla Henryka 7-go. Od samego początku istnienia tej gwardii „jomenowie" należeli całkowicie i jedynie do dworu królewskiego. Król płacił im żołd ze swej kasy. Liczba „jomenów" ciągle zmieniała się i już w roku śmierci Henryka 7-go (1509) było ich 120. Henryk 7-my, lubiący przepych powiększył królewską gwardię do 600 ludzi, a kiedy pojechał z wizytą do króla Francji, Franciszka II, zabrał swoich „jomenów" z sobą. Za czasów królowej Elżbiety było już tylko 200 gwardzistów.

A od czasu Karola II (1660) gwardia królewska liczy tylko 100 ludzi.

Pierwotną funkcją tej królewskiej gwardii była osobista ochrona panującego. Pełniła ona wartę we dnie i w nocy na dworze i wszędzie tam, gdzie przebywał król. „Jomenowie" byli odpowiedzialni za bezpieczeństwo króla nie tylko na polu walki i w drodze, ale także wewnątrz murów królewskiego zamku.

Pałac Ligi Narodów największą budowlą świata

Nowy pałac Ligi Narodów w Genewie, jest jedną z największych budowli na świecie. Powierzchnia zajęta przez gmach Ligi wynosi 17.900 metrów kwadratowych. Na mury gmachu zużyto 30 tysięcy metrów sześciennych betonu i 28 tys. metrów sześciennych cegły. Pałac posiada około 900 sal i biur, 1,630 okien i 1.700 drzwi.

Na oszklenie gmachu zużyto 8.800 metrów kwadratowych szkła. Zużycie światła wynosić będzie 320 tysięcy kilowatów, zużycie elektrycznej siły pędnej — 600 kilowatów. Ogólna długość drutów elektrycznych wynosi 212 kilometrów, kabli 23 kilometry, radiatorów 190, a powierzchnia ogrzewająca 13.500 metrów kwadratowych.

Zużycie paliwa wynosić będzie 880 tonn rocznie. Zużycie wody 33 tysiące metrów sześciennych.

Koszty utrzymania gmachu w stosunku do kosztów obecnych zwiększyły się o 750 tysięcy franków szwajcarskich rocznie.

Dziesięć tysięcy trzęsień ziemi rocznie

Zdawałoby się, że trzęsienie ziemi jest zjawiskiem wyjątkowym, tymczasem, jak się okazuje, ziemia podlega wstrząsom nie tylko codziennie, lecz nawet średnio po 27 razy dziennie, t. j. około 10.000 razy rocznie. Stwierdzono to dzięki rozrzuconym po całym świecie stacjom meteorologicznym, zaopatrzonym w przyrządy sejsmograficzne, a choć większość tych wstrząsów nie oznacza się gwałtownością, to jednak zawsze wywierają wrażenie, gdyż nigdy nie wiadomo, czy po pierwszym wstrząsie nie nastąpią dalsze, silniejsze.

Niezapomniana kobieta

(NOWELA)

— Bywają kobiety, — rzekł Jakub, sadowiąc się wygodnie w fotelu klubowym — których wspomnienie ściga człowieka w ciągu całego życia. Kobiety...

— Masz słuszność — przerwał Gaston — i ja przypominam sobie taką kobietę; szczególnie jedna przygoda młodości utkwiła mi na zawsze w pamięci.

Było to późne jesienne popołudnie, mieszkałem wówczas w Paryżu. Wbrew swemu zwyczajowi poszedłem wtedy na ulicy za kobietą, która wydała mi się czarującą.

Była zupełnie w moim typie: wysoka, smukła, jasnowłosa, ciemnooka, o przepięknej cerze. Miała chód taki wdzięczny i uwodzicielski, że nie mogłem oprzeć się pokusie, być blisko niej.

Przeszła wiele ulic, wstępowała do sklepów, a ja wciąż czekałem na nią. W ten sposób minęła przeszło godzina, gdy nagle na najbardziej ożywionym narożniku ulic odwróciła się, spojrzała mi prosto w oczy i rzekła:

— Pańska cierpliwość, młodzieńcze, zaimponowała mi. Czy nie ma pan dość tego bezsensownego spaceru?

— Proszę mi wybaczyć, szanowna pani... naprawdę... nie mogłem inaczej. Musiałem za panią iść.

— Taak? No, skoro to panu sprawia przyjemność, może... — Tu zawahała się, lecz skończyła zdanie: — ...może zechce pan w mym towarzystwie spędzić wieczór.

— Łaskawa pani — wyjąkałem, czerwieniąc się z niebywałej radości. Była siódma godzina, znajdowaliśmy się akurat w pobliżu Café Concordia.

— Możemy tu zjeść obiad, jeżeli panu nie robi różnicy — rzekła.

Zgodziłem się natychmiast; weszliśmy. Młoda dama z wielką pewnością siebie wybierała najdroższe potrawy, wyborowe wina i owoce, których cena przewyższała wydatek na moje obiady w ciągu całego miesiąca. Przechodziła szybko z nastroju w nastrój, to żartując lub drwiąc, to znów przeplatając rozmowę intonacją niezwykłej tkliwości, albo znów uwodzicielskim spojrzeniem, słowem i pieszczotliwym ruchem.

Ze skąpych jej wynurzeń wywnioskowałem, że ta czarująca osóbka, mówiąca najczystszym akcentem paryskim i imponująca paryską elegancją, jest Szwedką. Tylko tyle dowiedziałem się, gdyż najmniejszą aluzję do swego życia, zbywała wymijającą odpowiedzią i kierowała rozmowę na inny temat.

Kiedy przedłożono mi rachunek, zimny pot mnie oblał. Ale nieznajoma najspokojniej w świecie rzekła:

— Może byśmy poszli na rewię?

Czyż mogłem odmówić? Pojechaliśmy do teatru, wziąłem lożę, a moja towarzyszka cieszyła się, jak dziecko. Podczas antraktu rzekła z westchnieniem:

— Teraz, przyjacielu, musimy się rozstać.

— O, pani, chyba jeszcze nie. Jest tak wcześnie, dopiero jedenasta.

— Muszę jechać do domu, ale proszę mi dać swój adres, napiszę do pana — odparła z uśmiechem.

Dałem jej adres. Uścisnęła mi dłoń ze słowami:

— Dziękuję panu za zachwycający wieczór. Nie odpowiedziałem nic. Rzekła więc:

— Proszę nie robić tak smutnej miny; nie warto. Przekona się pan.

— Ależ droga, łaskawa pani. Czyż nie rozumie pani, jak mi jest przykro...

Niespodziewanie wzięła w dłonie moją twarz i wycisnęła gorący pocałunek na mych wargach, szepcząc: — Dowidzenia. — Po czym zniknęła.

Stałem na miejscu oszołomiony mnogością wrażeń.

Po powrocie do domu do strony uczuciowej dołączyła się troska i niepokój. Z całego majątku pozostało mi 64 franki, a nazajutrz miałem do płacenia czynsz, gaz i pranie. Na następną przesyłkę pieniężną trzeba było czekać 10 dni.

Kląłem w duszy szaleństwo i lekkomyślność, które wpędziły mnie poprzedniego wieczora w przygodę, a jednocześnie sylweta cudownej kobiety snuła się nieustannie przed mymi oczyma, a pocałunek palił mi wargi.

Około godziny 9 rano z ciężkiego snu zerwało mnie gwałtowne dobijanie się do drzwi.

— Tysiąc franków dla pana telegraficznie, proszę pokwitować! — wołał głos zza drzwi.

Otworzyłem i w najwyższym zdumieniu oglądałem przekaz. Jako nadawca figurował bank Martin i S-ka. Znałem wprawdzie taką firmę, ale nie miałem tam konta, ani żadnych interesów.

Pobiegłem do banku. Z wyjaśnień urzędnika dowiedziałem się, że piękna Szwedka, opuszczając dziś rano Paryż, nadała powyższe zlecenie pod moim adresem.

Moje wzburzenie nie miało granic. Szarpałem się, jak zwierzę w klatce. Gdybym choć wiedział, kim była i jak się nazywa, byłbym jej cisnął w twarz te pieniądze. Jeszcze dziś chwyta mnie złość na siebie samego, gdy sobie przypominam te okoliczności.

* * *

— I cóż, czy nie widziałeś już nigdy tej kobiety? — zapytał Jakub.

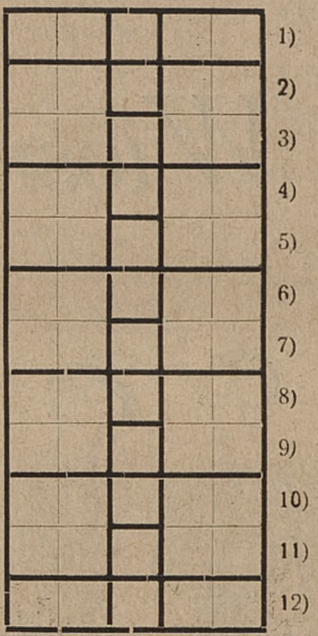
— Po dwóch latach otrzymałem od niej list. Zapraszała mnie na spotkanie do Cannes. Tam ją poślubiłem.

Dorrit Lingk.

CHWILA ZASTANOWIENIA

LOGOGRYF SPORTOWY

pod. „Romantyczny Śpiewak".



1) Na początku, drogie dziatki, brat rodzony mojej matki,
2) Achillesa strona słaba, ma ją chłop, ma ją baba,
3) Z elegancji ptaszek znany, wiecznie wyperfumowany,
4) Zaraz przyjdzie nam do głowy, ten beczący zwierz domowy,
5) To przyjaciel mój jedyny, w marcu święci imieniny,
6) Zwierzę znane, oczywista! — gdy „pokorne" to korzysta,
7) Po Dunajcu mknie jak strzała, dziewczę nim się jechać bało,
8) Powiedziała matce córka, że się skryła w nim przepiórka,
9) Siwy koń, biała grzywa, jak ten rumak się nazywa?
10) Ej, nie grymaś tak dziewczyno, pyszna była ze sloniną,
11) Chyba lepszy, niż papiery, jest ten pieniądz złoty, szczery,
12) Niech I gódkę dziś pochwalę, bo mnie zawsze kocha stale.

Odgadnąć 12 wyrazów pięcioliterowych, o podanym wyżej znaczeniu, a rząd środkowy da nam rozwiązanie.

BILET WIZYTOWY

Nizen Paatoney Z. Merogskirg Nosowisec.

Odczytać pseudonim, nazwisko i miejsce zamieszkania jednego z Sympatyków „Krainy"!

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek. Rozwiązania należy nadsyłać do piątku, 30 kwietnia br.

Rozwiązanie zadań z nr. 15 „Moich Powieści": Konikówka: „Najtrwalszą ze wszystkich jest nadzieja, choć wszystko utracimy ona nam zostaje". Szarada: Kołomyja.

Trafne rozwiązania nadesłali pp.: Marian Tomaszewski — Koźmin, Ewald Odrozek — Radlin, Emilia Łasiówna — Czułów, Fr. Surowiec — Poznań, Wanda Bojańczykowa — Włocławek, Feliks Konieczko — Łódź, Walentyna Rzekiecka — Zamość, Józef Kowalak — Horodenka, Eugeniusz Konieczny — Zdołbunów, Tadeusz Władyka — Winnagóra. Maria Kozłowska — Katowice.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Wandzie Bojańczykowej z Włocławka i Eugeniuszowi Koniecznemu z Zdołbunowa.

— Do jakiej stacji? — zapytał.
— Do Wiednia.
— Kupię bilet na następnej stacji, na której będzie dłuższy przystanek — obiecywał konduktor. — Teraz za mało czasu na to.
Gdy to mówił, zabrzmiał sygnał do odjazdu.
— Dzięki Bogu! — rzekła z westchnieniem Sylwia. — Gdybym była tylka chwil później przyjechała, nie zdążyłabym na pociąg i czekać musiałabym tu kilka godzin.
Nie przypuszczała nawet, że wcale nie miała powodu dziękować opatrzności.
Zaledwie pociąg ruszył, wyciągnęła znowu list, który wedle jej mniemania pisany był ręką narzeczonego.
Gdyby nie obecność innych podróżnych, byłaby list okryła pocałunkami. Czytała go teraz po kilka razy, a treść listu za każdym razem przejmowała ją strachem.
— Zgubiłam różę, która miała mi służyć jako znak — mówiła szeptem do siebie. — Teraz trudno mi będzie przed przybyciem do Wiednia postarać się o różę.
Piękne jej oczy oglądały teraz wszystkie towarzyszki podróży, znajdujące się w tym przedziale.
Może która z nich dostała na drogę bukiet od kogo. Ale niestety, żadna z tych pań, kwiatów ze sobą nie miała.
Co byłaby Sylwia teraz dała za jedną różę. Jak bacznie po wszystkich patrzyła, a przecież nie zobaczyła ani jednej róży. Serce ścisnęło się jej boleśnie. Czyż miałby to być zły znak?
Dojeżdżano właśnie do stacji, na której miał być dłuższy przystanek. Konduktor wysiadł i kupił Sylwii bilet.
— Czy może jeszcze czego pani trzeba? — zapytał chętny do usług konduktor, którego hojny napiwek od Sylwii tak zachęcił.
— Czy mógłby mi się pan wystarać tu o różę? — pytała Sylwia i patrzyła przy tym tak błagalnie na konduktora, że ten zdziwił się w duchu, jak można taką wartość przypisywać do takiego marnego kwiatka.
Po chwili odrzekł:
— Widzi łaskawa pani, że tu w polu o różę trudno, już okwitły, tylko naczelnik stacji jest wielkim miłośnikiem kwiatów i hoduje w wazonach najpiękniejsze róże.
— Jeżeli pani tak bardzo zależy na tem, aby mieć różę, to proszę pójść do pana naczelnika, a on pani napewno da.
— Proszę mnie zaprowadzić do tego pana — powiedziała Sylwia, wsuwając konduktorowi znowu pieniądze w rękę.
Konduktor wskazał jej gmach stacyjny i powiedział:
— Tam mieszka naczelnik. Gdy pani wejdzie do domu, proszę otworzyć zaraz pierwsze drzwi. Jest on wprawdzie trochę szorstki, ale tem proszę się nie zrażać, bo naczelnik jest zresztą bardzo dobrym człowiekiem.
Sylwia zbliżyła się już do wskazanego jej domu i zapukała do drzwi.
— Proszę — zabrzmiał wewnątrz gburowaty męski głos.


Prezydent Banku Niemieckiego dr. Schacht przybył do Brukseli, złożyć wizytę gubernatorowi Narodowego Banku w Belgii.

Sylwia weszła do pokoju i ujrzała postać wysoką o marsowym wyglądzie.
Rozglądnąwszy się po pokoju ujrzała wspaniały wazon róży francuskiej, o bardzo licznych kwiatach i pączkach. Oczy jej spoglądały na ten kwiat z prawdziwym zachwytem i rozkoszą wdychała wspaniałą woń, wydzielającą się z niego.
Pan naczelnik stacji zauważył jej zachwyt, więc też uprzejmy uśmiech rozjaśnił twarz jego.
— Nieprawdaż — zapytał — że ta róża francuska jest wspaniała?
— Tak — odpowiedziała młoda dama nieśmiało — brak mi wprost odwagi, wypowiedzieć swoją prośbę, panie naczelniku, bo pojmuję bardzo dobrze, że byłoby ta dla pana wielką ofiarą, rozłączyć się choćby z jedną taką różą.
— O, takiej ofiary nie ponoszę dla nikogo — odrzekł naczelnik sucho.
— Ludzie są dość bezczelni, aby mnie ciągle nagabywać o róże, ale źle na tem wychodzą. Nie odciąłem jeszcze nikomu róży, póki całkiem nie zwiędła. Niech pani patrzy — mówił, wskazując jej rozkwitłą różę, już prawie okwitującą — tę różę odetnę, bo to szkodzi całemu krzewowi, gdyż zabiera soki całej roślinie, ale tych na pół rozkwitłych róż i pączków nigdy nawet nie tykam nożycami.
To mówiąc odciął ową przekwitłą różę.
— Ta róża wystarczy mi zupełnie — rzekła Sylwia błagalnym tonem.
Czy darowałby mi ją pan? Ma to być znak dla mnie, wedle którego ma poznać mnie jedna pani, która mnie jeszcze nigdy nie widziała, ani ja jej.
— A, więc pani na posadę jedzie — mruknął naczelnik — ja mam także dwie córki, które w obcych stronach są na posadzie. — Dokąd pani jedzie, jeżeli spytać wolno?
— Do Wiednia — odparła Sylwia.
— Ach, tak, to ta róża ma służyć jako znak poznania dla przyszłej przełożonej pani — mówił dalej naczelnik stacji — ale w czasie długiej podróży opadną listki z róży.
— Będę ją bardzo ostrożnie trzymać w ręce, aby ją w całości przywieźć do Wiednia — odpowiedziała piękna dziewczyna, która pożądliwym wzrokiem patrzyła na różę.
W tejże chwili zabrzmiał sygnał do odjazdu pociągu.
Nim się Sylwia spostrzegła, uciął naczelnik stacji z łodygi w pół zakwitłą różę i dał jej do rąk.
— Zresztą nigdy czegoś podobnego nie czynię — mruknął — ale pani mi się wyjątkowo podoba i dlatego odstępuję od zasady.
Młoda dziewczyna była nadzwyczaj uradowana i chciała mu podziękować, lecz on nie przyjął podziękowania i rzekł:
— Proszę tego nie czynić, sprawiło mi to prawdziwą przyjemność, żem się pani mógł przysłużyć, ale teraz, niestety, musi mnie pani już opuścić, bo słychać sygnał do odjazdu.
Wyprowadził swego gościa na peron, pomógł Sylwii wsiąść do wagonu i ukłonił się kilka razy, gdy pociąg już ruszył.
Sylwia spoglądała z radością na różę w swojej ręce, starała się zapamiętać nazwę stacji, aby uprzejmemu naczelnikowi przysłać z Wiednia upominek i w ten sposób odwdzięczyć mu się za jego dobroć, nazwisko jego znała z karty wizytowej, umieszczonej na drzwiach jego mieszkania.
Była tak zajęta swojemi myślami, że w czasie tej długiej doprόży nie doznała nawet potrzeby posilenia się nieco.
Siedziała prawie w gorączce, w kąciku przedziału kolejowego i rozmyślała, w jakiby sposób najpewniej uwolnić Wernera.
Około godziny dziesiątej wieczorem pociąg był we Wiedniu.
Mimo spóźnionej pory było mnóstwo osób na dworcu kolejowym, oczekujących przybycia swoich krewnych lub przyjaciół.
Po krótkiej obserwacji, ujrzała Sylwia młodą, bardzo skromnie i

bezpretensjonalnie odzianą panią, która również zdawała się wzrokiem kogoś szukać. Zaledwie ujrzała w rękach Sylwii różę i list, przybliżyła się do niej i zapytała, nie podnosząc wcale gęstego welonu.

— Czy mam przyjemność mówić z panną Sylwią Herbert?

— Jestem Sylwia Herbert — odrzekła zagadnięta, potem zapytała trwożliwie:

— Jakżeż się ma hrabia Werner Wildenstein? Czy zdrów?

— Jest zdrów i oczekuje panią z niecierpliwością — odrzekła Janka, głęboko współczując z boleścią pięknej nieznanej dziewczyny.

Jakże gorzko żałowała, że tak chętnie weszła w plany barona i jakżeż chętnie byłaby teraz niewinną Sylwię przestrzegła. Ale podczas, gdy się namyślała w jakiby sposób ją przestrzec, wymknął się z za tłumu starszy, siwowłosy i elegancko ubrany pan, który się ku Sylwii zbliżył i kłaniając się jej głęboko zapytał ją uprzejmie:

— Czy mam zaszczyt mówić z narzeczoną hrabiego Wildensteina?

Sylwia ukłoniła się milcząco.

Nieznajomy podał jej ramię.

— O, pani jesteś wyczekiwaną jak anioł zbawienia — rzekł.

— Czy przychodzi pan wprost od hrabiego Wildensteina? — zapytała Sylwia.

— Do usług — łaskawa pani — odparł starszy mężczyzna.

— Niech pani pozwoli, że się przedstawię: Ismar Cohen. Pani zapewne chce się pytać, dlaczego pan Cohen sam hrabiego nie uwolnił? Moja łaskawa pani, ja jestem człowiekiem zależnym od drugich i nie mogę się dlatego narażać na utratę posady. Gdybym sam stracił zajęcie, wtrąciłbym żonę i dzieci swoje w najokropniejszą nędzę. Z samej natury rzeczy wynika, że mi milszym jest dobro mojej rodziny niż bliźnich.

Słowa te płynęły lekko z ust pana Ismara Cohena, i tak mówiąc, zbliżał się do rzędów stojących dorożek i prywatnych powozów.

Mimowoli obejrzała się Sylwia i szukała wzrokiem pani, która ją najpierw przywitała. Szukała jej nadaremnie, gdyż znikła gdzieś w tłumie.

Przykre uczucie owładnęło nią i zapierało jej prawie oddech.

Instynktownie zaczęła przeczuwać, że jakieś nieszczęście ją czeka.

— Gdzie jest owa pani? — zapytała trwożnie.

— Ona nie może nam towarzyszyć — odrzekł mniemany pan Ismar Cohen. — To jest biedna dziewczyna i straciłaby swoje miejsce w zakładzie, gdyby się dowiedziano, jaką rolę ona w tej całej sprawie odegrała.

I rzeczywiście, spełniła Janka swą rolę, bo jej obecność na dworcu, była tylko na to potrzebną, by dodać Sylwi otuchy i usunąć podejrzenie, jakie się w jej duszy budzić zaczęło.

Poczas, gdy pan Cohen nieustannie przemawiał do swej towarzyszki, aby jej nie dać sposobności do mówienia, otworzył drzwiczki powozu i wsunął potem Sylwię do niego z taką siłą, jakiejby się po człowieku w jego wieku trudno było spodziewać. Sam usiadł obok niej i zatrzasnął drzwiczki.

To zdaje się był umówiony znak dla woźnicy, który zaraz trzasnął z bicza i pogonił konie, z szybkością wichru pomknęły i dały dowód niebywałej siły i wytrwałości.

— Zapewne będzie łaskawa pani zadowolona, jeżeli zaraz udamy się do zakładu? — spytał pan Cohen swojej towarzyszki, podniesionym głosem, aby przytłumić trochę turkot powozu.

Gdy tak głos swój wysilił, wydało się Sylwi, że słyszy głos barona, ale rozmowa była niemożliwa z powodu silnego turkotu.

Woźnica był zmuszony zwolnić kroku koni, a Sylwja próbowała na nowo zacząć rozmowę, ale pan Cohen odrzekł prosząc:

— Niech pani daruje, ale jestem piersiowo chory i nie mogę płuc swoich natężać, gdyż musiałbym to odpokutować.

Te słowa zapewniły mu spokój, bo chociaż Sylwia bardzo pragnęła dowiedzieć się czego o Wernerze, to była zanadto sumienna, aby pana Cohena narazić na utratę sił i zdrowia, dlatego pokonała swoją niecierpliwość i patrzyła roztargniona na tłum ludzi, przeciskający się ulicami.

Po długiej podróży dostali się nareszcie na szosę, a konie pomknęły ze zdwojoną szybkością.

Od czasu do czasu zobaczyć można było wynurzającą się wśród ciemności willę pomiędzy ogołoconymi z liści drzewami, potem nie było już nic widać. Żadnego zabudowania i tylko nagie pola po obydwu stronach drogi.

— Czy pan odprowadzi mię do samego zakładu? — pytała Sylwia.

Wtedy pan Cohen zapukał energicznie w okno powozu, polecił woźnicy jechać powoli i powiedział uprzejmie do Sylwii:

— Jestem gotów, uczynić to dla pani, ale tylko pod jednym warunkiem.

— Pod jakim? — zapytała Sylwia.

— Jestem za dumny, aby wyjawić swoje stosunki! — mówił pan Cohen — przyznaję się jednak otwarcie do tego, że jestem biednym człowiekiem i że muszę dbać o utrzymanie licznej rodziny. Mam sześć córek, a do niedawna, musiałem jeszcze utrzymywać dwie — niedawno zmarłe — siostry mojej żony. Pani sama to uzna, że nie mogę się narazić na utratę posady, wobec takich stosunków.

Młoda niewiasta przytakiwała skinieniem głowy.

— Niechybnie straciłbym swoją posadę jako lekarz zakładowy, gdyby się dyrektor dowiedział, że znałem imię i stan pani — mówił pan Cohen dalej — prócz tego zabronionoby pannie Herbert wstępu do zakładu.

— Ale cóż mam w takim wypadku uczynić? — pytała Sylwia zatrwożona.

— Całkiem poprostu — mówił Cohen uspokajając ją — pani powie, że jest pani hrabianką Adą Dornbruch, narzeczoną barona Egona Sturmfedera, a niewątpliwie otworzą bramę zakładu. Pani zobaczy tam swego narzeczonego i naocznie przekona się pani, jak go tam wbrew wszelkim prawom zatrzymują.

Ta propozycja pana Cohena nie podobała się Sylwii i dlatego wypowiedziała otwarcie swoje zdanie.

Pan Cohen wzruszył na to ramionami i powiedział:

— Wobec tego umywam ręce od wszystkiego. Pani przecież nie może żądać, abym swoją rodzinę unieszczęśliwił, dla kaprysu pani.

Mówił tak ostro i stanowczo, że Sylwia patrzyła na niego ze zdziwieniem.

Czy był to ten sam człowiek, który dotąd mówił tak łagodnie i był taki miękki jak wosk?

Podczas, gdy Sylwia dziwiła się w duchu tej nagłej zmianie w usposobieniu swego towarzysza, począł on dalej mówić:

— Pani ma do czynienia z łotrami, a jednak obawia się pani najmniejszego kłamstwa! Zapewniam panią, że pani prostą drogą nie dojdzie do żadnego rezultatu! Musi pani swoich przeciwników zwalczać taką bronią, jakiej oni używają. Podstęp za podstęp użyć, inaczej nie uwolni pani swego narzeczonego.

Niechżeż się pani stara jako hrabianka Dornbruch dostać do zakładu obłąkanych, niech się pani zapozna z dozorcami i dozorczyniami, niech się pani przekona, że narzeczony tam się znajduje, a potem może pani przy pomocy dwóch tajnych agentów wydostać narzeczonego stamtąd.

— Ależ teraz już pewnie północ — odrzekła Sylwia trwożnie. — Przecież o tej porze nie odwiedza się nikogo.

Niech się pani tem nie martwi — odrzekł towarzysz Sylwii — pozwolę sobie umieścić panią przez noc u jednej znajomej, byłej mojej pacjentki z zakładu. Jutro rano przyjdę po panią.

Tem zakończył pan Cohen swoją rozmowę i zawołał na woźnicę, by szybciej konie popędził.

Po krótkiej szybkiej jeździe zatrzymał się powóz przed małym domkiem.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

ADAM CZEKALSKI

6)

Sen o zemście

OPOWIEŚĆ STAROPOLSKA

Lecz i adherenci familijni nie pozostawali dłużni i gdzie mogli i jak mogli dopiekali Radziwiłłowi. Stąd rąbaniny nieustanne po miastach i miasteczkach, stąd najazdy sąsiedzkie i niesąsiedzkie, poczem wynikające z nich procesy, rozciągające się na lata.

Korzystając z walki politycznej dwóch możnowładców, ten i ów szlachetka załatwił swoje porachunki prywatne z osobistymi wrogami i najeżdżał ich przy pomocy braci szlachty lub zgoła hałastry zebranej na drogach, a gdy pokrzywdzony podnosił krzyk z tego powodu, napastnik uciekał się pod skrzydła opiekuńcze jednej lub drugiej strony wojującej i napaść usprawiedliwiał dobrem publicznym. Że tam z tego wynikał proces, nikt się nadzwyczajnie nie przejmował, bo nim doszło do jakiegokolwiek wyroku, bezpośredni sprawcy awantur dawno pomarli, a proces przechodził na nowe pokolenia.

Ten wir życia politycznego, ta ciągła walka, w której Ciechanowiecki brał najczynniejszy i najżywszy udział, przytępiły nieco w nim ból serdeczny, ale nie mogły rany zabliźnić całkowicie.

Tęsknota za niewierną zrywała się często w nim jak burza, co nie wiedzieć skąd przychodzi i jak burza ogarniała go całego. I wtedy gotów był na największe szaleństwa i największe kompromisy.

Bywało nieraz, że gdy znalazł się gdzieś w towarzystwie niewiast, a któraś z nich troszeczkę choćby przypominała mu piękną Gigę, zrywała się w nim owa burza z taką gwałtownością, że natychmiast opuszczał towarzystwo i gotów był pędzić do Brasławia lub choćby do Ucian, aby rzucić się do kolan niewiernej i błagać, by wróciła do niego. Ledwie nieraz udało się braciom pohamować go i powstrzymać od popełnienia podobnego szaleństwa.

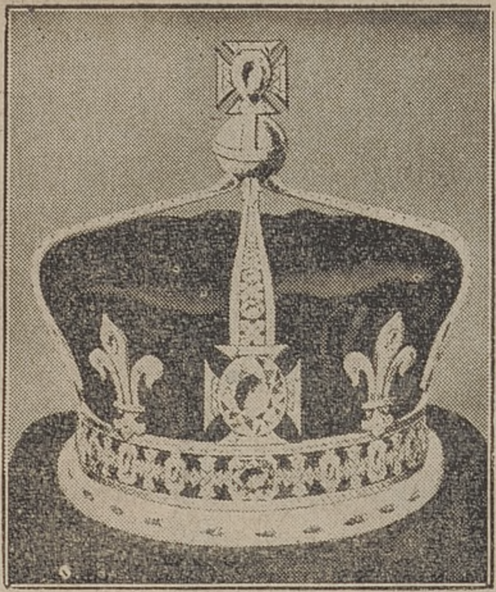
— Zaliż honoruś już wyzbył się do cna, byś tam, gdzie cię nienawidzą, miał biec, jako ćma do ognia? — kładł mu w takich chwilach do uszu brat Michał.

— Nie żyć mi bez niej, nie żyć... — jęczał wtedy starosta i wił się w bólu serdecznym, jak motyl nadziany na szpilkę.

— Bądź-że mężem, Janie! — doradzał generał. — Nie jesteś pacholęciem, które rady sobie dać nie może z rozsterką serca. Weź się w karby, opanuj i na Boga, nie popełniaj szaleństwa.

Lecz rozumne te rady braterskie nijak nie mogły trafić do rozumu zrozpaczonego rycerza. On nie tylko gotów był ważyć się na każde szaleństwo w takich chwilach, ale gotów był popełnić ich stokroć więcej, niż bracia przypuszczać mogli, byle jeno ona wróciła, ona jedna — wymarzona, bez której nie widział życia ni przyszłości.

I gdyby ta niewierna szepnęła była choćby słówko, gdyby palcem kiwnęła,



Korona, całkowicie wykonana z platyny z olbrzymim diamentem w środku, którą królowa angielska włoży w dzień koronacji.

pobiegłby do niej już nie do Brasławia, nie do Ucian, ale choćby na kraj świata.

Czasem zrywał się lecieć do niej, kazał pakować łuby, sposobić pojazdy i wtedy dla braci były to najcięższe chwile.

— Nie pojedziesz! — wołał stanowczo generał. — Na własną hańbę nie pojedziesz.

— Pojadę, albo mieczem się przebiję, bo nie żyć mi bez niej.

— Zaliż Boga nie masz w sercu i sumienia nie masz, byś tam szedł?

— Pójdę, muszę pójść do niej — upierał się pułkownik.

— I dokądże to? Gdzież jej będziesz szukał? Ni w Brasławiu, ni w Ucianach nie masz jej. Podobno graf uwiózł ją do Wołczyna, pod opiekę księcia kanclerza, pod opiekę Familii, której służy. Zaliż chcesz hańbę swoją publicznie przed wrogami obnosić, jako delie?

— Napadnę na Wołczyn i porwę ją.

— Jakże to? Zamek gołymi rękami chcesz zdobyć?

— Mam pięćset szabel własnych w pogotowiu, a na zawołanie bracia szlachta z dwakroć tyle staną.

Starosta nie przesadzał, bo istotnie tak było. Bracia ulękli się tego najazdu, który, choć z tak prywatnej przyczyny podjęty, łatwo mógł wywołać pożar wojny domowej, najstraszniejszej z wojen. Wiedzieli oni dobrze, że stosunki polityczne na Litwie tak już były zaostrzone, iż dość było rzucić najmniejszą iskrę, aby prochy wybuchły. Zlękli się tego. Zaczęli szukać w mózgach ratunku, lekarstwa dość skutecznego na tego desperata.

— Wiem dobrze — zagaił pewnego razu starosta domaski — że i w Wołczynie jej nie masz. Graf nie ufał snać potędze Familii i do stolicy córkę uwiózł. Zaliż zechcesz porwać się i na majestat króla?

Było li to prawdą lub nie — mniejsza. Pewne natomiast było to, że ostudziło zapały Jana. Jednocześnie atoli myśl jego uczepiła się stolicy, jak jeszcze niedawno Wołczyna, bo wydało mu się to ratunkiem.

Pojedzie do Warszawy.

Ta myśl opanowała go już na nowo całkowicie, wypełniła cały jego mózg i zarówno myśli jak zamiary skierowała w inną stronę.

X

Przedsiębiorczy teść

Odebranie córki Ciechanowieckiemu, chociaż w eleganckim światku prowincjonalnym wywołało pewien, jakobyśmy dzisiaj powiedzieli, skandal, to jednak nie na tyle, aby to jednej lub drugiej stronie mogło zaszkodzić w opinii. Już też tam sam graf postarał się wśród swoich kompanionów frakcyjnych przedstawić pułkownika, jako jakiegoś zagranicznego ludożercę, na mięso ludzkie łasego, a piękną lilię swojego rodu, jako ofiarę brutalności i tyranii mężowskiej. A ponieważ przyjaciele Ciechanowieckich znowu, Jana uważali za ofiarę perfidii i szalbierstwa Strutyńskiego, obie więc strony były ofiarami we własnych kółkach.

Po powrocie pod dach rodzicielski, pani Jadwiga tym się jeno zajmowała po całych dniach, aby krasę swoją jeszcze zwiększyć i usunąć ślady przebytej niewoli.

O mężu nie myślała prawie nigdy. Rozkoszowała się jeno poczuciem odzyskania całkowitej swobody, świadomością swojego piękna, które w tym okresie stawało się jeszcze bardziej olśniewającem — i marzyła o salonach, jeśli nie królewskich, to przynajmniej książęcych w Wołczynie.

Co zamierzał ojciec — mało ją to naogół interesowało. Wierzyła tylko mocno w jedno, iż ani w Brasławiu, ani w Ucianach długo popasać nie będzie. Zbyt tu mizerne otoczenie, zbyt chudopacholscy synowie i zbyt nikczemne w okolicy salony. Ona, a razem z nią i oboje rodzice, pragnęła błyszczeć, pragnęła olśniewać, czarować i podbijać.

Lecz mijały dni za dniami a piękna pani wciąż siedziała bądź w Brasławiu bądź w Ucianach, a marzona świetna przyszłość nie nadchodziła.

Tymczasem graf, ująwszy sprawę córki w swoje ręce, nie zasypiał jej bynajmniej, jakby się to pozornie wydawać mogło. Pragnął on ukarać tyrana za despekt wyrządzony swojemu domowi i uczynił wszystko, aby grom kary na głowę starosty opeskiego sprowadzić.

Że jednak sprawa była zbyt poważna i wychodziła z ram czysto prywatnych, rozszerzając się do rozmiarów zagadnienia międzyfrakcyjnego — pojechał Strutyński do księcia kanclerza do Wołczyna na radę.

Głowa Familii przyjął adherenta przychylnie i niemal serdecznie, wyrażając mu zarazem współczucie z powodu tak niefortunnego ułożenia się małżeństwa jedynaczki.

— Bóg widzi naszą niewinność, wasza ks. mość — westchnął smętnie graf. Ale to dziwne, jak bardzo pozory często



Przemiła godzina z książką...

mylą. Toż ten człowiek wydawał nam się dawniej zgoła innym, a okazał się tyranem gorszym starożytnych.

— Cóż?... — odrzekł książę — często tak bywa, mon cherciu, że i wilki przywdziewają na się baranie skóry... Ale gdy się jednak wilka mimo baraniej skóry pozna...

Książę kanclerz spojrzał wymownie na grafa, a pomilczawszy chwilę, dodał:

— I cóż ty, mon cherciu, zamierzasz dalej czynić? Wszakże należałoby córce, pani starościnie opeskiej, zabezpieczyć jakoweś dochody na majętnościach mężowskich...

— Właśnie w tej materii pozwoliłem sobie trudzić waszą ks. mość.

— No cóż, mon cherciu, z prawa wszak jej to przynależy.

— Jakąż radę raczyłbyś, wasza ks. mość, jako biegły jurysta i mąż doświadczony, udzielić mnie? Bo ja, to doprawdy jestem tak wstrząśnięty ostatnimi wypadkami, tak dla domu mojego przykrymi, iż głowę tracę.

— Możnaby, bez wielkich krzywd dla starosty Ciechanowieckiego, mon cherciu, zażądać odjęcia mu starostwa opeskiego i zapisania na imię jego małżonki. W ten sposób będzie miała pani Ciechanowiecka własne dochody bez konieczności uciekania się do szkatuły ojcowskiej.

— Ach, to rzeczywiście iście książęca myśl! — zawołał rozpromieniony Strutyński, pochylając się do kolan księcia. — Oczywiście, starania podejmę bez zwłoki i tylko będę waszą ks. mość prosił, abyś raczył nie odmówić mi swej cennej pomocy.

— Czyż odmawia się wiernym nam przyjaciełom czegokolwiek, choćby nawet takiej rzeczy, która przysparzałaby uszczerbek w majętnościach naszych własnych? Tak, mon cherciu... Pomoc moja w staraniach o starostwo opeskie przyrzekam, ale proszę w sprawie rozwodu — narazie nie dawać swej zgody. Jak długo sprawa materialna zakończona nie będzie — wszczynanie sprawy rozwodowej przeszkodziłoby nam wielce.

— Jużcić ja tam bez wiedzy waszej ks. mości dobrodzieja mojego szczególnie, nic nie postanowię, ale we wszystkim pozwolę sobie po radę do waszej ks. mości przychodzić.

— I dobrze zrobisz, mon cherciu, i dobrze zrobisz... Ale póki co — sprawa starostwa opeskiego ma pozostawać w najgłębszej tajemnicy.

Graf położył rękę na żabocie.

— Tak mi Panie Boże dopomóż.

— Przyjdźże tedy mon cherciu, jutro po listy do mnie, to jeszcze porozmawiamy, do kogo masz w stolicy zapukać, aby ci otworzono.

Graf skłonił się głęboko w podzięce.

— A cóż tam porabia owa nieszczęsna ofiara tego opeskiego ludojada — spytał znowu książe kanclerz.

— Siedzi, duma, bo cóż ma, biedna, począć, gdy ów brutal tak z nią postępował, że dziś musi leczyć się z choroby po długotrwałej niewoli.

— Dobrze zrobisz, mon cherciu, jeśli ją tu do mnie do Wołczyna z panią małżonką przyślesz... Niechby się w dobrym towarzystwie rozerwała, zabawiła... Młodzieży nie brak tu u mnie.

— Jestem waszej ks. mości niezmiernie zobowiązany za jego pamięć o nas chudopachołkach, którzyśmy jej nie godni.

— Drobnostka, drobnostka, mon cherciu, ale jeśli o to chodzi, czyście tej pamięci godni lub nie, to któż tu może być godniejszym nad ciebie, mości grafie, którego dowody przywiązania i wierności dla naszego domu nie raz i nie dziesięć były nam okazane.

Graf zgiął się w pokornym ukłonie dziękczynnym, a tymczasem książe, dosiadłszy swego ulubionego konika, mówił dalej:

— Gdyby wszyscy nasi przyjaciele, klienci i plenipotenci tak statecznie dotrzymywali nam wiary, jak to o tobie, mon cherciu, śmiele rzec mogę, nie odnosiłaby frakcja księcia Panie Kochanku tylu triumfów nad naszymi ludźmi tu i ówdzie, jak to dzieje się ostatnio... Ginie powoli staropolska cnota przywiązania i wierności do swych starszych braci, którzy po to jedynie stworzeni zostali, by im drogę wskazywać in tenebris, jak to starsi bracia czynią z młodszymi w jednej rodzinie... Ale co tam — machnął książę ręką, jakby uprzykrzoną muchę odpędzał. — Będziemy trwać i walczyć wytrwale aż do zwycięstwa, a zwycięstwo to musi być naszem.

— Musi być, wasza ks. mość! — pochwycił graf z zapałem.

Pożegnawszy księcia pana, poszedł graf do siebie, mając głowę nabitą myślami o starostwie opeskim.

Nazajutrz, wyprawiwszy umyślnego do Brasławia z zaproszeniem obu niewiast w gościnę do Wołczyna, poszedł znowu Strutyński do kanclerza po obiecane listy. Otrzymawszy je wraz z radami, gdzie i do kogo pójść, gdzie i jak rzecz przedstawić, jak do króla jegomości i jak do ministra Brühla trafić — wyruszył graf natychmiast w daleką drogę do stolicy.

I szczęście chciało, że już na progu swoich starań w Warszawie, natknął się na pana Rudominę, który już się był z ran wylizał i znowu pełnił służbę przy królu. Ten zabrał zaraz grafa na swoją kwaterę, poił i gościł w ciągu dni paru, a gdy w końcu przyszło do rozmowy, graf zdradził tajemnicę, a Rudomina natychmiast zapalił się do sprawy. Wysłuchawszy uważnie opowiadania Strutyńskiego i dowiedziawszy się, jakimi on rozporządza atutami, rzekł:

— Sprawa nie będzie łatwą, ale choćby ona najtrudniejszą nawet była — damy jej radę.

— Za pomoc będę waćpanu dozgonnie zobowiązany — odrzekł na to graf.

— Przy czym — dodał — już choćby tylko jednym swoim postępkiem, tym mianowicie, że waszmości niecnie i podstępnie napadł, nie godzien jest Ciechanowiecki łaski królewskiej.

Rudomina nie sprostował tego błędu. Miał on gniew do starosty opeskiego bynajmniej nie o to, iż go na drobny mak posiekał, zresztą w regularnym pojedynku, a jeno o to, że go jak sługę do odryny odnieść kazał, nie interesując się wcale — zemrze-li dworzanin królewski lub żyw będzie. Tego hoży dworzanin królewski nie mógł Ciechanowieckiemu zapomnieć i za to postanowił na nim zemsty poszukać.

— Jutro — rzekł znowu Rudomina — pójdziesz wasza miłość z listami polecającymi gdzie potrza, a ja będę się starał królowi jegomości sprawę przedstawić i o instancję prosić.

— Przyczynisz się tym waćpan do pognębienia tego ludojada i do zwycięstwa niewinnie pokrzywdzonej cnoty i czystości.

Rudomina miał wprawdzie nieco odmienne zdanie o owej „pokrzywdzonej cnocie i czystości", ale nic nie odrzekł.

Dnia następnego obaj panowie rozpoczęli od samego rana starania: graf udał się z pismami do protektorów, Ru-

domina, mając służbę przy boku króla, starał mu się być stale na oczach.

Król jegomość August III lubił ogromnie krotochwile i facecje i często kazywał je sobie opowiadać swojemu otoczeniu, przy czym zaśmiewał się z nich w głos, zwłaszcza, gdy opowiadanie dotyczyło osób mu znanych.

Zdarzyło się tedy dnia tego, że król jegomość był w dobrem usposobieniu, a ujrzawszy Rudominę i przypomniawszy sobie niejasno historię, jaka do jego uszu doszła o litewskiej przygodzie swego dworzanina, zagadnął go w pewnej chwili:

— Rudomina!

— Słucham waszą królewską mość.

— Jakże się czujesz?

— Dziękuję waszej królewskiej mości — doskonale.

— Wyleczyłeś się już z ran po szabli pana starosty opeskiego?

— Zupełnie, wasza królewska mość.

Król śmiać się począł.

— Powiedziano mi, Rudomina, jak to tam było? Czy to na tak najbardziej gorącym uczynku zdrady złapał cię imć pan Ciechanowiecki?

— Ach, wasza królewska mość, zgoła przeciwnie, bo nawet nie zamierzałem kosztować nadobnych ponęt, gdy ów ludojad porwał mnie na murawę i pociął dość szpetnie.

— A no, bo widzisz mój chłopcze, nie należy wybierać miodu, gdy pszczoły w ulu. Ale — cóż dalej? Cóż dalej? Opowiedzno mi szczegółowo.

— Jako rzekłem — zaczął Rudomina — starosta pociął mnie szpetnie, poczem kazał służbie wrzucić do odryny i przywołać medyka, by mnie opatrzył...

— To jednak, choć gniewny, starosta postąpił po rycersku z tobą.

— Tego negować nie mogę, wasza królewska mość. Ale za to na małżonce swojej zemścił się srodze, bo ją w komnacie jej uwięził i długo trzymał, nikogo tam nie dopuszczając, prócz starego nieużytego sługi, który jej posiłki przynosił...

— I dotąd ją tam trzyma?

— Biedna ofiara zazdrośnika długo cierpiała, aż jakimś szczęśliwym trafem dała znać rodzicowi, który do Opsy przybył i córę z niewoli wyzwolił, do domu ją swego zabierając.

— I jakże skończyło się to wszystko?

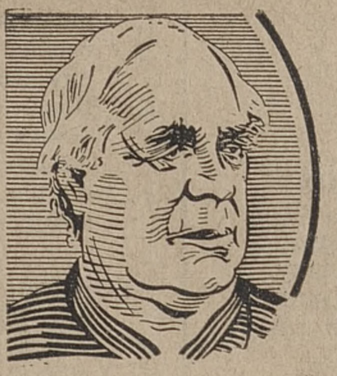
— Starosta, jako słyszę, do Nieświeża, do księcia Radziwiłła wyjechał, gdzie warcholi w okolicy, a ona, biedna, opuszczona, łzy roni w domu rodzicielskim, grosza jednego we własnej szkatule nie mając.

— Jakże to? Nic-że jej starosta nie daje?

— Nawet złamanego szeląga, co jest tym gorsze, iż z prawa zaopatrzenie jej się należy.

— To pewna, ale czemuż nie stara się sama o uzyskanie zaopatrzenia, jakie przystoi osobie tak zacnego rodu?

— Właśnie do stolicy przybył rodzic biednej opuszczonej, graf Strutyński, który pragnie prośbę do tronu waszej królewskiej mości zanieść, aby starostwo opeskie Ciechanowieckiemu odjętem i na rzecz małżonki jego przepisane zostało.



— Starostwo opeskie? Czekajno, Rudomina, wszakże starostwo to, o ile wiem, od wielu wieków znajduje się we władaniu Ciechanowieckich?

— To prawda, wasza królewska mość, ale co jeden król polski nadał, drugi łacno może odjąć, a powód zawsze się znajdzie, o ile zechce go się poszukać.

— Ależ tu nie ma żadnego godziwego powodu, aby pułkownika pozbawiać starostwa. Cóż nas może obchodzić, że on tam nie może pogodzić się z żoną? Nie on pierwszy i nie on ostatni.

— Będzie tak, jak wasza ks. mość postanowi, lecz gdyby mi było wolno rano...

— Mów!

— Starosta jest stronnikiem księcia Karola, a frakcja ta nie jest tronowi waszej królewskiej mości nader przychylna, podczas gdy frakcja księcia kanclerza jest za nami. Gdybyś, najjaśniejszy panie, odebrał starostwo opeskie Ciechanowieckiemu, oddając je jego pokrzywdzonej małżonce, oponent zostanie ukarany, a frakcja księcia kanclerza tym mocniej z tronem zostanie związana.

— Baj baju, będziesz w raju! Gdybyśmy tak postąpili, tym więcej narazilibyśmy sobie księcia Panie Kochanku, czego nie możemy sobie zgoła życzyć. Nie, mości Rudomino, kiepski z ciebie polityk. Już niechaj zostanie tak, jak jest, a pani Ciechanowiecka w inny sposób niechaj szuka zabezpieczenia swoich dochodów.

Niezrażony odmową Rudomina nie zwątpił jednak, że w końcu sprawa przeważy się na stronę pięknej madame Hedwige. Król odmówił, to prawda, ale pozostał jeszcze wszechwładny minister królewski, który w wielu wypadkach więcej mógł od samego króla jegomości.

Rudomina nie wiele się istotnie mylił. Wszechwładny minister, przebiegły, chytry, chciwy na pieniądze, frymarczący królewszczyznami i dobrami koronnymi, nadający za opłatą godności i tytuły na lewo i prawo, nieraz jedno i to samo starostwo dwóm i więcej starającym się — mógł naprawdę wiele, więcej nieraz od samego króla.

Z kolei i graf Strutyński poruszył wszystkie sprężyny nie wyłączając przekupstwa, tak ówcześnie powszechnego. Zabiegi jego zwolna realizowały się, prowadziły do pożądanego skutku. Wprawdzie sprawy szły ciężko, opornie, ale i nie dziw. Toż tu chodziło o starostwo, które od wielu wieków znajdowało się nieprzerwanie w rękach Ciechanowieckich, w rękach rodu bardzo dla kraju zasłużonego i stanowiące jak gdyby ich dziedzictwo, przechodzące z ojca na syna, z pokolenia na pokolenie. Odebranie im tego starostwa bez godziwego, uzasadnionego powodu, mogłoby wywołać bardzo groźne komplikacje, gwałt powszechny już nie tylko na samej Litwie, ale i w Koronie, gdzie Ciechanowieccy mieli wielu powinowatych. Prawda, prawo martwe warowało tytuł własności królewszczyzn królowi, mógł się pan minister królewski na nie powołać, mógł powiedzieć tak samo, jak Rudomina: „co jeden król dał, drugi łatwo może odjąć", ale prawo zwyczajowe, przywłaszczone sobie w ciągu wieków przez szlachtę, że to, co raz było dane, zazwyczaj zatrzymano na stałe, to niepisane prawo było daleko mocniejsze od prawa pisanego, od woli monarchy, bo szlachta, zazdrośnie strzegąca swoich nadań i przywilejów, w każdym, nawet tak prawnie uzasadnionym przypadku, jak ten — widziała zamach na swoją złotą wolność i na swoje przywileje. W takich razach cały stan szlachecki występował solidnie w obronie zagrożonych „swobód obywatelskich". I zapewne, gdyby tutaj nie były wchodziły w grę interesy dwóch potężnych możnowładców, silnych poparciem bezmyślnych mas szlacheckich, pociąganych urokiem służenia komuś mocniejszemu, większemu od siebie, sprawa zabiegów grafa Strutyńskiego spaliłaby się była z pewnością na panewce.

Ale pan minister królewski, któremu starosta szakinowski pokazawszy pismo księcia kanclerza — jednocześnie potrząsnął trzosem koło uszu, trzosem, który zadźwięczał najczystszym złotem, pozbył się zaraz, jeśli nie wszystkich, to w każdym razie znacznej części swoich skrupułów. A tymczasem Strutyński kusił w dodatku:

— Spełniając prośbę JW księcia kanclerza — mówił on — zobowiążesz go tym wasza miłość daleko więcej, niżbyś jemu samemu zaproponował wysokie, urodzeniu jego odpowiadające, stanowisko.

— Ależ z tego może powstać krzyk na kraj cały! — bronił się miękko pan minister królewski.

Ciąg dalszy w nast. numerze.

JADWIGA COURTHS-MAHLER

Ofiary miłości

Powieść

14) **PRZEDRUK WZBRONIONY!**

— Nie chciałam przeszkadzać, siostro Bettino.

Bettina z uśmiechem pogłaskała ją po twarzy.

— Blado wyglądasz, moje dziecko. Może mnie się uda wyczarować na twej twarzyczce dawne rumieńce? To należy przecież do mojego zawodu — dodała cicho.

Jak na zawołanie gorące rumieńce oblały twarz dziewczyny.

W pierwszych godzinach Bettina nie miała sposobności pomówić z Ewą. Dopiero po obiedzie ujęła ją za ramię i rzekła:

— Panno Ewo, czy nie zechcesz pani przejść się ze mną po ogrodzie? Tak dawno tu nie byłam — wiele musiało się zmienić od tego czasu, radabym zobaczyć. Uprowadziła ją z sobą, a Fryc i Maria spojrzeli na siebie porozumiewawczo.

— Teraz wyślę depeszę do Bernarda, by zaraz przyjechał — rzekł Fryc, gdy Bettina i Ewa znikły im z oczu.

Maria spojrzała pytająco.

— Jesteś tak całkiem pewny, że Bettina zdoła ją przekonać?

Przytaknął ruchem głowy.

— Matka potrafi wszystko, gdy chodzi o szczęście jej dziecka. Wierzę, że gwiazdy potrafiłaby wstrzymać w biegu, gdyby było potrzeba. Czemuż nie miałaby wlać otuchę w strwożone serce kochającej dziewczyny?

Maria się uśmiechnęła.

— Albož nie wiedziałam, że mój Fryc znajdzie wyjście nawet z tej sytuacji bez wyjścia?

— Nie ja — Bettina to zrobi.

Maria potrząsnęła głową.

— Nie. Ty jesteś lekarzem, Bettina tylko lekarstwem, zapisanem przez ciebie. Zaśmiał się swym serdecznym śmiechem i ucałował ją w kwitnący policzek...

Bettina usiadła z Ewą w cieniu rozłożystych kasztanów. Z głęboką radością wpatrywała się w piękną poważną twarz Ewy. Całkiem inna niż ta wątła, nadmiernie delikatna Gabi. W niej wszystko zdrowe i silne. Dzięki Bogu — tym razem Bernard znajdzie prawdziwą towarzyszkę życia.

Przez chwilę siedziały obok siebie w milczeniu, z rozkoszą wdychając wonne powietrze ogrodu. — Wreszcie Bettina zwróciła się do swej towarzyszki.

— Drogie dziecko, umyślnie tu panią uprowadziłam. Nikt nam nie przeszkodzi, a chcę z panią omówić sprawę bardzo ważną. Szczerze mówiąc: przyjechałam przede wszystkim do pani.

Ewa zarumieniła się raptownie, a serce zaczęło jej walić w piersi jak młotem. Domyśliła się, że chce z nią mówić o Bernardzie. Może poprosił matkę o to pośrednictwo.

— Siostra chce ze mną pomówić o swoim synu, nieprawdaż? — spytała.

— Tak, moje dziecko. Wiem o wszystkim.

Ewa podniosła na nią swe smutne oczy.

— W takim razie wie siostra także, jak rozpaczliwe jest moje położenie. Serce ciągnie mnie do niego i przemawia za nim, lecz obowiązek wzbrania mi pójść za tym głosem. Nie chcę rzucać cienia hańby na jego życie.

Bettina ujęła ją za rękę.

— Dziecko, wszak pani nie odpowiada za postępowanie matki. Uważałam zawsze za okrucieństwo, nie licujące z dobrocią Boga podsuwane mu słowa: Grzechy ojców mścić będą na ich dzieciach. Nie, Bóg, który jest wszechdobrocią, wszechmiłosierdziem i wszechmądrością, nie może być tak małostkowym i niesprawiedliwym. Raczej mógłby rodziców czynić odpowiedzialnymi za błędy i grzechy dzieci, ale nie naodwrót. Jakże pomniejszamy Boga takiemi myślami o nim. On wie w swojej dobroci, że wszyscy jesteśmy słabymi błądzącymi istotami i że potykamy się, skoro tylko odejmie od nas swą rękę. Nie powinna też pani potępiać swojej matki.

— Ja jej też nie potępiam. Boleję tylko, że nie potrafi się opanować i uspokoić. Mimo wszystko jest jednak moją matką. I dlatego właśnie jestem z nią związana, a jej przewinienia i na mnie rzucają cień. Czy mając tę świadomość, mogę połączyć się z człowiekiem, którego całe życie jest czyste i bezplamne, który nigdy nie zetknął się z brudem i nikczemnością? Nigdy nie wyzbyłabym się gnębiącego uczucia, że dla osobistego szczęścia ściągnęłam go z jego wyżyny etycznej.

Bettina westchnęła ciężko.

— Dziecko, gdyby wszystkie błędy ludzkie i występki wychodziły na jaw, nie wielu tylko byłoby bezwzględnie czystych i bezpłatnych.

— Ta świadomość nie zwalnia mnie od odpowiedzialności osobistej.

Bettina wyprostowała się nagle, a twarz jej przybrała wyraz stanowczości.

— W takim razie muszę pani dopomóc. Udzielenie tej pomocy nie jest dla mnie łatwem, ale chcę to uczynić dla pani... i dla mego syna.

Nerwowym ruchem wyprostowała ręką fałdy habitu i poważnie spojrzała w zdumione oczy Ewy.

— Tę suknię zakonną włożyłam przed wielu laty, przywiązałam się do niej i nie złożę jej do śmierci. W chwili jednak, kiedy wkładałam ją po raz pierwszy, stan mojej duszy był okropny. Była to bowiem szata pokutnicza. Nigdy nie myślałam, że przyjdzie mi ją włożyć, gdyż kochałam życie wesołe i beztroskie, a takie właśnie prowadziłam w tym domu u boku brata. To mi jednak nie wystarczało. Pragnęłam zabezpieczyć synowi dziedzictwo brata, który był długo kawalerem, co mnie utwierdzało w nadziei, że Bernard zostanie jego spadkobiercą. Aż tu nagle i całkiem niespodzianie Fryc się zaręczył i ożenił, pomimo, że czyniłam wszystko, by temu zapobiec. I wtedy ciemne moce wzięły mnie w posiadanie. Powiem krótko. Aby synowi zabezpieczyć spadek...

Głos jej się załamał. Drżącemi rękoma przesunęła po oczach. Po chwilowej pauzie podjęła opowiadanie i wyznawała wszystko, całą swoją winę i długoletnią pokutę.

Skończyła wyczerpana, a Ewa z śmiertelnie bladą twarzą, do głębi wstrząśnięta siedziała obok niej znieruchomiała. Po jej policzkach spływały ciężkie łzy. Czuła, ile Bettinę kosztowało to wyznanie, a obok grozy, w duszy jej wzbudziła się głęboka litość. Ta kobieta zgrzeszyła z nadmiaru miłości macierzyńskiej, nie z pobudek egoistycznych jak jej matka.

Bettina widziała łzy, sączące się z oczu dziewczyny.

— Pani płacze... Ach, gdyby łzy zdolne były wymazać winę, to moje byłyby ją spłókały, bo wylałam ich całe morze w udręce i katuszy... A teraz... teraz pani wie, że matka Bernarda cięższego się dopuściła przestępstwa, niż matka pani. Teraz może już pani stanąć u jego boku bez obawy obniżenia go. Teraz niema on już żadnej wyższości nad panią, jak to sobie pani wymyśliła wskutek przeczulenia etycznego. Czy i teraz ma pani jeszcze jakieś skrupuły? Czy muszę wychylić kielich goryczy do dna i oskarżyć się przed własnym synem?

Ewa drgnęła i wykonała gest przeczący.

— Nie... nie... on nie śmie o tem wiedzieć... nigdy, przenigdy. Tak ciężko skazywać, gdzie chciałoby się tylko kochać i czcić.

— Nieprawdaż, dziecko drogie? Pani to stwierdziła na sobie. Widzi pani... mój brat jest człowiekiem wyjątkowo dobrym i mądrym... on to podał mi sposób przyjścia z pomocą pani i Bernardowi. W tym celu mnie tu sprowadził. Już pani wie, że tylko przypadek ustrzegł matkę Bernarda od popełnienia zbrodni. I teraz pani zstępuje ku niemu, jakkolwiek jego życie jest czyste i bezplamne. W ręce pani złożyłam straszną tajemnicę mego życia i wiem, że pani zachowa ją dla siebie. Nieprawdaż, wszak spowiedź moja nie była ofiarą daremną? Teraz znajdzie już pani siłę i odwagę do szczęścia?

Z oczu Ewy łzy płynęły teraz strumieniem. Z łkaniem rzuciła się w objęcia starej kobiety.

— Matko, matko kochana, jakże ci mam dziękować?

— Uszczęśliw mego syna, dziecko drogie, ty to potrafisz, jeśli swobodnie i z otuchą spojrzysz w przyszłość, którą zasępiłaś sobie urojeniami. Bóg jest niewyczerpany w swej dobroci — pokazał ci, że nawet winy matek mogą stać się błogosławieństwem dla ich dzieci. Bądź więc szczęśliwa i pełna ufności w niezmierzone miłosierdzie Boże.

Objęła Ewę ramionami i tuliła ją do siebie, jakgdyby to było dziecko lękające się ciemności.

— Już się teraz nie boję, droga, kochana mamo, ty mi przywróciłaś odwagę do szczęścia. Dzięki, dzięki, że mi ją przywróciłaś.

Bettina promienne spojrzenie wzniosła ku niebu.

— Chodziło o szczęście mego syna — rzekła z westchnieniem głębokiej ulgi.

W chwilę później trzymając się za ręce wracały do domu. Maria zobaczyła je przez okno. Zwróciła się do Fryca, zatopionego w swej gazecie.

— Drogi, teraz już możesz wysłać depeszę. — Spójrz tylko na twarz Ewy. Promienieje szczęściem. Czego to nie dokona miłość matki!

* *
*

„Przyjeżdżaj natychmiast — Ewa oczekuje cię z tęsknotą".

Raz po raz Bernard odczytywał te kilka słów depeszy, nie mogąc poskromnić zniecierpliwienia, że leniwy pociąg tak powoli wiezie go do celu. Brzmiały tak stanowczo i triumfalnie... Jeśli wuj Fryc wysłał taką depeszę, to musi być całkiem pewny swego...

Nareszcie stanął u celu. A u furtki ogrodu oczekiwał go nie kto inny, jak Ewa we własnej osobie. Z okrzykiem szczęścia wyciągnął ku niej ramiona, gdyż w złotych błyskach jej oczu wyczytał zapowiedź szczęścia upragnionego. A ona padła w jego silne ramiona i złożyła głowę na piersi ukochanego.

— Nareszcie moja, nareszcie! — szepnął w upojeniu, a drżenie wstrząsało jego postacią. To dało jej miarę jego wzruszenia.

Podniosła nań oczy.

— Bernardzie mój!

Zaśmiał się i pijany szczęściem całował jej oczy i usta.

— Na koniec wywietrzały z tej ślicznej główki wszystkie te okropne przywidzenia? — szeptał.

— Wywietrzały raz na zawsze i nigdy mnie już nie będą dręczyć. Z całą ufnością składam moje losy w twoje ręce — pokierujesz niemi zgodnie ze swoją wolą.

Znów ją obsypał pocałunkami.

— Och, ten cud niespodziany! Jakże ci mam dziękować, najdroższa? Tak strasznie się dręczyłem i obawiałem, że z nadmiaru sumienności unieszczęśliwisz siebie i mnie. A oto moja droga słodka dziewczyna rzuciła te głupie mrzonki... Ewo, ukochana moja, poco mnie tak męczyłaś? Nie mogę sobie poprostu wyobrazić, co byłoby się stało ze mną, gdybyś była trwała w swym uporze... Ty, moja najcudniejsza, jedyna miłości mego życia, ty czarodziejko o złotych oczach, jak bezgranicznie ja kocham ciebie! I kto dokonał tego cudu, kto zdołał wypłoszyć nareszcie te śmieszne obawy? Wuj Fryc nieprawdaż?

— Nie, znalazł sposób skuteczniejszy. Twoja matka...

— Ona tu była?

— Jest jeszcze. Czekają na nas w salonie, niby spiskowcy. Chcą obchodzić uroczyście nasze zaręczyny, a matka twoja zgodziła się zostać do tej chwili. Ale potem wróci do swych obowiązków — od tego nikt jej odwieść nie zdoła. Ale chodźmy już do nich. Czekają dość długo.

Ujął ją pod ramię.

— Najchętniej wziąłbym cię teraz na ręce i uniósł daleko, daleko od ludzi. Muszę sobie przecież powetować te długie lata rozłąki. Jedyna... nie mogę wprost zrozumieć, jak mogłem tak długo żyć bez ciebie. Teraz jednak już zwlekać nie będziemy. Jak najrychlej musimy się pobrać. Najchętniej zabrałbym cię odrazu do Hattenfelde.

Patrzyła nań rozpromieniona, pełna radosnego upojenia.

Tak pięknej nie widział jej nigdy. Z twarzy jej znikło wszelkie cierpienie — smutne oczy siały teraz błyski upajającej radości, miłośnie wpatrzone w ukochanego.

Minęła jeszcze spora chwila, zanim Bernard zdecydował się skończyć słodkie sam na sam i wejść z Ewą do pokoju, gdzie przywitały ich uśmiechnięte twarze Bettiny i wujostwa.

* *
*

W parę tygodni później odbył się ślub i Ewa z Bernardem zamieszkała w „willi Anny".

Tym razem los dał im wszystko, czego się od niego spodziewali, a Wendenburg bez wszelkiej zawiści wygrzewał się w promieniach ich szczęścia.

Bettina mimo gorących próśb rodziny wróciła do swych obowiązków. I tylko krótki urlop spędzała co roku w Hattenfelde.

Także Fryc i Maria byli tu częstymi gośćmi, a Walter i Helenka nie posiadali się z radości, mogąc uganiać po obszernym parku.

Wendenburg wyznaczył Szarlocie wyższą pensję, odgadując życzenie Ewy. Zagroził jednak, że bezwarunkowo cofnie tę rentę, jeśli bodaj raz przekroczy swój budżet. Strach przed nędzą utrzymał ją w karbach — w miarę możności prowadziła też życie uregulowane.

Groby ciotki Anny i Gabi zimą i latem zdobne są kwieciem. Ewa je pielęgnuje. W szczęściu nie zapomniała o swojej szlachetnej opiekunce, ani o siostrze przyrodniej, której swoją ofiarą krótkie tylko zapewniła szczęście.

Bernard nie dowiedział się nigdy, jakiej okoliczności zawdzięczał zmianę decyzji swej ukochanej. Ewa dochowała tajemnicy Bettiny.

I kobiety umieją czasem milczeć.

KONIEC.

Najciekawsze audycje Polskiego Radia w Warszawie

Niedziela, dnia 25 kwietnia 1937 r.

8.00 Audycja poranna 9.30 Kazanie z okazji 10-lecia Rozgłośni Krakowskiej i Poznańskiej 9.45 Transmisja uroczystości odpustowych na św. Wojciecha w Gnieźnie 12.03 Poranek symfoniczny 14.00 „Wśród harcerskiej gromady" — transmisja z Gniezna 14.30 Polska Kapela Ludowa Feliksa Dzierżanowskiego 15.05 „Szajne Katarynka" — „obrazki naiwne malowane na szkle" 15.30 „Audycja dla wsi" 16.20 „Z operetek Frimla i Abrahama" (płyty) 16.45 Słuchowisko: „Bal, który się nie odbył" 17.15 „Podwieczorek przy mikrofonie" 21.00 „Awantura na Olimpie" — wesoła audycja ze Lwowa 21.30 Recital fortepianowy Zofii Jaroszewicz-Hulanickiej 22.30 Chór Dana i Kwartet Schrammla 22.05 Muzyka taneczna.

Poniedziałek, dnia 26 kwietnia 1937 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Koncert rozrywkowy 12.30 „Od warsztatu do warsztatu" — transm. z Instytutu Rzemieślniczego im. Marszałka Józefa Piłsudskiego 15.15 Koncert orkiestry Barnabasza Geczi 16.15 „Jak powstały i co znaczą nasze przezwiska" — odczyt 16.30 Tercety wokalne 17.00 „Licea przemysłowe" — odczyt 17.15 Lucjan Marczewski: Fragmenty z ilustracyj muzycznych 18.20 „Orkiestra Harry Roy'a" (płyty) 19.00 Audycja strzelecka 19.30 „Nasza marynarka gra" — koncert w wyk. Ork. Marynarki Wojennej (z Gdyni) 20.05 Łódzka orkiestra salonowa pod dyr. Teodora Rydera 21.00 „Listek wawrzynu" — „kurant staroświecki" 21.30 Wiązanka lekkich melodyj i piosenek. 22.00 Koncert Wileńskiego Klubu Muzycznego.

Wtorek, dnia 27 kwietnia 1937 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Wileńska Orkiestra Salonowa 15.15 Koncert rozrywkowy 16.30 Koncert ukraińskiego chóru narodowego 17.00 „Dni powszednie państwa Kowalskich" 17.15 Koncert solistów 17.50 „Pogromca" — monolog 18.20 „Jazzowe piosenki" (płyty) 19.00 „Dyskutujmy": „Tradycjonalizm i rewolucjonizm" 19.20 Koncert w wyk. orkiestry rozrywkowej 20.15 Koncert symfoniczny z sali Domu Katolickiego „Roma" 22.30 „Powieściopisarz, a fabrykant powieści" — szkic liter. 22.45 Muzyka (płyty).

Środa, dnia 28 kwietnia 1937 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Mała Orkiestra P. R. 15.15 Orkiestra Otto Dobrindt'a i lekkie duety (płyty) 19.30 Polskie pieśni ludowe i utwory skrzypcowe 17.00 „W walce ze szpiegostwem" — odczyt 17.15 Koncert kameralny 18.20 „Orkiestra Roberta Renarda" (płyty) 19.00 „Entuzjaści ośrodków Wychowania Fizycznego" — audycja zbiorowa ze wszystkich rozgłośni P. R. 19.25 „Słynni dyrygenci": „Feliks Weingartner" 20.10 Zespół Almar i Otten 21.00 „Opowieść o Chopinie" 21.45 Lekkie melodie w wyk. Kreislera (płyty) 22.10 Dramat Kalidasy pt. „Sakuntala".

Czwartek, dnia 29 kwietnia 1937 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Poranek muzyczny dla młodzieży szkół powszechnych 12.03 Koncert Orkiestry Policji Państwowej 15.15 Ork. Jack. Hylton'a i soliści (płyty) 16.35 „Miłość Schumanna" reportaż muzyczny 17.30 Audycja poświęcona Japonii 18.20 Melodie filmowe (płyty) 19.00 Koncert kameralny poświęcony utworom Maurycego Ravela 19.45 Koncert rozrywkowy (z Wilna) 20.25 Bilans miesiąca propagandy Ośrodków Wychowania Fizycznego 21.00 „Sylwetki kompozytorów polskich" — 24-a audycja. 22.00 Muzyka taneczna.

Piątek, dnia 30 kwietnia 1937 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Koncert Orkiestry Wojskowej 15.15 Piosenki Imperio Argentiny i Armanda Grabbe 16.30 Pół godziny walców 17.00 „Licea handlowe" — odczyt 17.15 „Z naszych wspomnień muzycznych" — koncert 18.20 Orkiestra „Mario Harp Lorenzi" (płyty) 19.00 „Pierwsze kroki Adasia" (Ze wspomnień o Adamie Żeromskim) 19.20 „Z pieśnią po kraju" 19.45 Fragment operowy 20.00 9 pogadanka z cyklu „O instrumentach ork. symfonicznej" 20.15 Koncert symfoniczny z Filharmonii Warsz. 22.30 „As pik" — skecz 22.45 Muzyka taneczna.

Sobota, dnia 1 maja 1937 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Potpourri operetkowe 15.15 Wiązanka melodii 16.15 Pieśni w wyk. chóru robotniczego 17.00 Transmisja nabożeństwa z Ostrej Bramy 18.20 Walce Jana Straussa w różnych interpretacjach 19.00 Audycja dla Polaków zagranicą 19.30 Zespół Stefana Rachonia 20.05 Mikto Saber — 15-letni skrzypek 21.00 Koncert muzyki operowej 22.00 „Wesoła Syrena": „Psychoanaliza" 22.30 Muzyka taneczna.

HUMOR

TROSKLIWI

W zaroślach czatują bandyci na bogatego handlarza, który ma wkrótce nadjechać. Mija jednak godzina, dwie, cztery, zaczyna już wokół szarzeć, a podróżnego nie widać. Bandytów ogarnia niepokój:

— Co znaczy, że go tak długo nie ma? — szepce jeden.

— Czy mu się, aby, broń Boże, co złego nie stało?...

W SĄDZIE

— Czy oskarżony był już kiedy karany?
— Piętnaście lat temu.
— A od tego czasu?
— Ani razu.
— Co oskarżony robił przez te piętnaście lat?
— Siedziałem w więzieniu...

DZIECINKA

Babcia obcięła sobie włosy. 5-letnia wnuczka natychmiast zauważyła zmianę fryzury i mówi:

— Babciu, ty już nie wyglądasz teraz, jak stara kobieta.

Babcia jest ogromnie zadowolona.

— Tak? A jakże ja wyglądam?

— Jak stary mężczyzna!

WYMÓWKA

Pani Pompońska wpada z marynarką swego męża do gabinetu:

— Karolu, co ma znaczyć ten czarny włos na twoim ubraniu?

— Oznacza on, że nie czyściłaś mego ubrania od czasu jak stałaś się blondynką — odpowiada spokojnie małżonek.

WESTCHNIENIE

Do dyrektora biura melduje się urzędnik z prośbą o zwolnienie:

— Pan dyrektor pozwoli, chciałbym iść na pogrzeb teściowej...

— Kto by nie chciał iść na pogrzeb teściowej?...

ODWAŻNY

Jaś wybił szybę.

— Jak mogłeś to zrobić? — pyta dziadek.

— Bo chłopcy mówili, że nie będę miał odwagi...

W MAŁŻEŃSTWIE

Adwokat: — Początkowo żyliście państwo bardzo dobrze ze sobą?

Żona — Tak.

Adwokat: — A od kiedy zaczął mąż panią źle traktować?

Żona: — W drodze powrotnej z urzędu cywilnego!

WYGRANY ZAKŁAD

Fredek spotyka przyjaciela.

— Cóżeś taki wyelegantowany?
— Wygrałem zakład o 1000 złotych.
— O coś się założył?
— Założyłem się z pewnym frajerem, że przez osiem dni nic nie będę jadł i przez osiem nocy nie zmrużę oka.
— No i co?
— No, i wygrałem.
— W jaki sposób?
— Spałem w dzień i jadłem w nocy...

WSPOMNIENIA

— Dla czego pan zamiast papierosów nie pali fajki? To podobno daleko zdrowsze.

— Bardzo możliwe, tak przyjemniej mówią, ale, łaskawa pani, z fajką łączą mnie przykre wspomnienia młodości: mój ojciec palił fajkę i to na długim cybuchu...

KATECHIZM

W niemieckiej szkole katecheta wykłada przypowieść o faryzeuszu i groszu ubogiej wdowy. Wreszcie pyta ucznia:

— Ile wynosi grosz wdowy na dzisiejsze pieniądze?

— 12 marek i 43 fenigi!

Zdumiony pastor indaguje sztubaka:

— A ty skąd wiesz?

— Przecież w katechiźmie wyraźnie jest wydrukowane: „Grosz biednej wdowy" Marek 12,43... (Ewangelia według św. Marka, rozdział 12, wiersz 43).

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3,00 złote. Pod opaską i za granicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50, Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA I ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8 P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32

Rękopisów niezamów. nie zwraca się.

Wystarczy adresować „MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450.— złotych. **1/2 strony** 225,— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za terminy ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 50 proc. nadwyżka. — Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia. — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były z góry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne à 68 mm Strona za tekstem ma 6 łamów à 34 mm

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Kavcki. — Red. odpow.: Maria Zemmlerówna — Zakłady Wydawnicze Alfred Kavcki w Żninie